

ODRODZENIE

TYGODNIK

Rok II

Kraków, dnia 16 września 1945 r.

Nr 42

JERZY KIRCHMAYER

Kampania wrześniowa

Bezpośrednią przyczyną wojny polsko-niemieckiej były żądania niemieckie, domagające się od Polski ustępstw terytorialnych w korytarzu pomorskim oraz wyrzeczenia się przywilejów w W. M. Gdańsku. Klamka zapadła, gdy w dniu 21. III. 1939 r. Hitler zażądał w stanowczej formie przyjazdu do Berlina polskiego ministra spraw zagranicznych, celem załatwienia tych żądań, a rząd polski odpowiedział częściową mobilizacją i demonstracyjną podróżą ministra Becka do Londynu. To sprzeczne stanowisko Niemiec i Polski nie dało się już uzgodnić w drodze pokojowych rokowań. Wybuch wojny był nieunikniony.

PLANY WOJNY

Polskie przygotowania do wojny rozpoczęły się dopiero dnia 21. III. 1939 r. Przed tą datą Polska nie miała opracowanego planu wojny przeciwko Niemcom, co odbiło się fatalnie na przebiegu kampanii wrześniowej, ponieważ plan wojny musiał być obmyślany na przedce, a przygotowany do wykonania na kolanie.

Fundamentem polskiego planu wojny było przekonanie, że główne uderzenie niemieckie zostanie skierowane na Polskę i że trzeba będzie przetrzymać ten napór, dopóki nie da się odczuć na zachodzie natarcia sprzymierzonych wojsk francusko-angielskich. Wychodząc z tego założenia, Rydz-Śmigły postanowił przeciwstawić się obronnie niemieckiemu natarciu na linii obejmującej żywotne ośrodki własnego zaopatrzenia i chroniącej możliwie największą liczbę ludności polskiej. W tym celu zorganizował olbrzymi front obronny, który rozpoczął się od puszczy Augustowskiej, biegł wzdłuż Biebrzy, Narwi, Buga, Narwi do Wisły, stąd splotał wzdłuż lewego brzegu tej rzeki aż do ujścia Brdy, obejmował przedmieście Bydgoszcz i opadał ku południowi, opierając się o jeziora w rejonie Żnin—Inowrocław i górny bieg Noteci, po czym przechodził na Wartę i Widawkę, obejmując przedpole Kutna i Łodzi. Z Widawki skręcał ku zachodowi i biegł już w pobliżu granicy państwowej, obejmując Częstochowę, linię kolejową Częstochowa—Ząbkowice, Zagłębie Śląskie, skąd przez Pszczyne, Bielsko i Żywiec sięgał grzbietów karpaccich. Od Żywca front skręcał ku wschodowi i biegł wzdłuż Karpat po Sanok. Na obsadę tej zasadniczej linii obronnej, ciągnącej się na długości około 1600 km Rydz-Śmigły przeznaczył 6 armii i 2 grupy operacyjne, ogółem 26 dywizyj piechoty, 10 brygad kawalerii, 4 brygady piechoty i 1 brygadę motorową, co stanowiło 3/4 wszystkich sił polskich. W zadaniach danych dowódcy armii i grup zalecił utrzymać jak najdłuższe tereny znajdujące się na przedpolu. W wykonaniu doprowadziło to do wysunięcia dużych sił nad samą granicę.

W odwodzie, który był rozprószony na całym obszarze operacyjnym i podsunięty blisko do zasadniczej linii obronnej, pozostało 16 dywizyj piechoty, 1 brygada motorowa i 1 brygada kawalerii. Najsilniejsze zgrupowanie stanowiła armia „Prusy”, rozmieszczona w rejonie Tomaszów Mazowiecki—Kielce.

W razie niemożności utrzymania zasadniczej linii obronnej przewidywano przeniesienie obrony na linię Narew—Środkowa Wisła—Dunajec.

Ten obmyślony przez Śmigłego plan wojny nie miał siły, ażeby skutecznie stawić czoło nieprzyjacielowi. Wprawdzie obronne założenie planu było słuszne, ale w wykonaniu popełniono największy błąd. Chciano mianowicie utrzymać ogromne obszary nieodpowiednio słabymi, a nadmiernie wszczepionymi siłami. W wyniku dywizjom piechoty przypadły do obrony odcinki długości do 50 km. Rozdano więc niewykonalne zadania i w te nierealne plany wojenne wciągnięto większość rozporządzalnych sił. Dlatego front polski mógł być łatwo przelamany. Drugim błędem było, że nie wyciągnięto wniosków z dobrze znanej przewagi pancernej i lotniczej nieprzyjaciela. Polskie dowództwo nie zdawało sobie sprawy, że wojsko pozbawione broni pancernej, z niedostateczną obroną przeciwpancerną i przeciwlotniczą, przyniesione nieprzyjacielską przewagą w powietrzu, nie sprosta natarciu, a jego odwrót na wschód będzie odbywał się w najcięższych warunkach wysięgu pieszego człowieka z samochodem, przy czym na pieszego spadną dodatkowe przeszkody w postaci licznych bomb lotni-

cznych. W naczelnym dowództwie nie uświadomiono sobie tego obrazu i dlatego odwrót i obrona na Wiśle rysowały się tylko mglisto i w jakiejś odległej przyszłości.

Trzecim błędem było zbyt bliskie podsuniecie odwodów do linii frontu, wskutek czego powstawała groźba wciągnięcia wszystkich sił w ciężki błąd operacyjny, który popełniono, wykreślając kilkakrotnie dłuższą linię obronną, niż starczyły na to siły. Z tej groźby wyłaniała się dalsza. Wobec możliwości związania wszystkich sił polskich w ciężkich walkach na dalekim przedpolu Wisły i wobec trudności ewentualnego odwrotu w obliczu pancernej i lotniczej przewagi przeciwnika, mogło się zdarzyć, że linia ostatecznego oporu na Narwi, Wiśle i Duńajcu zostanie odsonięta i nie będzie już odwodu, ażeby ją skutecznie zastąpić. Polski plan wojny zawierał więc ryzyko ponad miarę:

- obrona na zasadniczej linii nie miała widoków wytrwania,
- obrona na linii ostatecznego oporu nie miała widoków zorganizowania się.

Wreszcie czwartym błędem była zła organizacja dowodzenia. Rydz-Śmigły podporządkował sobie bezpośrednio wszystkie armie oraz grupy operacyjne. Było to równoznaczne z pełną dezorganizacją dowodzenia.

Niemiecki plan wojny był całkowicie zaczepny. Chodziło bowiem o błyskawiczne załatwienie się z Polską i sprowadzenie wojny do jednofrontowej, zanim rozwiną się działania na zachodzie. W tym celu dowództwo niemieckie wyzyskało dogodnie warunki operacyjne, jakie dawało mu posiadanie Śląska łącznie z Czechosłowacją oraz Prus Wschodnich. Główny wysiłek został skierowany na teren między linią Wrocław—Łódź—Warszawa a Karpatami. Uderzyły tu trzy armie (grupa armii „Południe”) w składzie około 36 dywizyj, w tym 8 pancernych i zmotoryzowanych, z zadaniem rozbicia głównego ugrupowania polskiego i opanowania polskiej wojennej bazy materiałowej (Zagłębie Śląskie i COP). Na północy uderzyły dwie armie (grupa armii „Północ”) w składzie około 21 dywizyj, w tym 5 pancernych i zmotoryzowanych, z zadaniem uzyskania łączności między Rzeszą a Prusami Wschodnimi i wyjścia jak największymi siłami z obszaru Prus Wschodnich w kierunku pomiędzy Warszawą a Brześć Litewski, czyli na tyły armij polskich, walczących w środkowej i południowej Polsce. Działania naziemne były poparte silnym lotnictwem, które liczebnie przeważało pięciokrotnie, a biorąc pod uwagę techniczne własności sprzętu, przeważało dziesięciokrotnie nad lotnictwem polskim. Niemieckie dowództwo opracowało więc plan wojny w pełnej świadomości swej przewagi pancernej i lotniczej i postawiło sobie jako cel działań całkowite zniszczenie sił polskich. Plan ten miał widoki pełnego powodzenia z powodu ogólnej słabości wojska polskiego, spotęgowanej błędami polskiego naczelnego dowództwa.

ROZWINIĘCIE WOJSKA POLSKIEGO

odbywało się od wiosny 1939 r., lecz hamowały je względy gospodarcze i polityczne.

Względę gospodarcze opóźniały fortyfikowanie terenu, ponieważ całość zasiewów wydawała się ważniejsza niż gotowość stanowisk obronnych. Te same względy hamowały zarządzenia mobilizacyjne, ponieważ ważniejsza wydawała się nienaruszalność dotychczasowego systemu gospodarczego, niż wcześniejsze postawienie wojska na stopie wojennej.

Drugą przyczyną było powstrzymujące działanie mocarstw zachodnich, których rządy zdziły się do ostatniej chwili, że uda się odwlec wybuch wojny. Punktem szczytowym tego działania była interwencja w sprawie odwołania zarządzonej już mobilizacji powszechnej.

Ostatecznie rozwinięcie sił polskich było spóźnione. Rozpoczęcie działań wojennych w dniu 1. IX. zastało wojsko w położeniu, w którym mobilizacja była wykonana mniej więcej w 66%, zaś koncentracja tylko w 45%. Główny trzon sił stanowiących obsadę pierwszego rzutu frontu obrony osiągnął wprawdzie gotowość bojową, ale wszystko, co znajdowało się bardziej w tyle, było jeszcze w toku koncentracji, bądź też mobilizacji. Ogólnie w dniu 1. IX. osiągnęło pełną gotowość bojową po stronie polskiej tylko 17 dywizyj piechoty, 6 brygad kawalerii, 3 1/2 brygady piechoty i 1 brygada motorowa. Na te siły zważyło się natarcie około 47 niemieckich

dywizyj piechoty, pancernych, lekkich, zmotoryzowanych i olbrzymie lotnictwo. Wynik nierównej walki nie mógł ulegać wątpliwości.

OGÓLNE TŁO KAMPANII

W dniu 1 września o godzinie 4.45 wojsko niemieckie rozpoczęło działania wojenne bombardowaniem z powietrza ważnych ośrodków lotniczych, komunikacyjnych i wojskowych. Po godzinie 5.00 rozpoczęły się działania na ziemi.

Kto chce wczuć się w rozpoczętą tymi nalotami kampanię, musi nieustannie pamiętać o trzech charakterystycznych okolicznościach, które od pierwszej godziny wojny towarzyszyły każdemu polskiemu działaniu, to znaczy każdej bitwie i każdemu manewrowi przed i po bitwie.

1) Skutki przyniatającej przewagi nieprzyjaciela w powietrzu. Od pierwszego dnia wojny lotnictwo niemieckie wyzyskiwało swoją druzgocącą przewagę w powietrzu nad całym obszarem Polski, a więc nie tylko nad strefą operacyjną, ale nawet nad najgłębszymi tyłami. W ogniu bomb znalazło się wojsko w walce, marszu i na postoju, znalazła się ludność cywilna w miastach i wsiach, na polach i na drogach. Pod terrorem lotniczym działały nie tylko większe oddziały wojskowe, lecz nawet pojedynczy jeźdźcy i pojedyncze pojazdy. Na zniszczonych skrzyżowaniach dróg, na strzaskanych mostach i rozbitych groblach utykał ruch i tworzyły się skupiska ludzi, nie kończące się kolumny wozów, w które były potem nieprzyjacielskie nurkowce. Rwał się ruch kolejowy, powstawały zatory na stacjach i szlakach i były jeszcze łatwiejszym żerem dla nalotów. Toteż nierealnymi okazywały się wszystkie obliczenia transportowe. Pozostawała ofiarą improwizacja, lecz i w nią były bomby. Rwała się sieć telegraficzna, milkiły w dowództwach aparaty Hughesa, a samolot łącznikowy tylko z największym trudem odbywał podróż, z której aż nadto często nie wracał.

W tych warunkach wszystkie ruchy wojska polskiego odbywały się w zwolnionym tempie, zamierzony manewr stawał się zawodny, a z tym większą siłą występowała przewaga szybkich związków nieprzyjaciela.

2) Skutki paniki wśród ludności. Strach przed zbliżającym się grzmiotem dział, obawa przed napaścią odwiecznego wroga, chęć schronienia się tam, gdzie spodziewano się, że nieprzyjacieli nigdy nie dotrze, wreszcie wezwania do ewakuacji rzucone przez polskie radio sprawiły, że ludność tłumnie opuściła swe siedziby i poszła na tułaczkę w kierunku na wschód. Razem z nią uciekały urzędy państwowe, policja, straż pożarna i przeróżne instytucje. Jednak pod wpływem prawdziwej lub bylejakiej, wysłanej z palca wiadomości o przecięciu drogi marszu przez niemiecką broń pancerną żywił zmieniła dotychczasowy kierunek, parł w przeciwną stronę, krzyżował się z innym jeszcze nie zaalarmowanym, stwarzał zatory i blokował ruch oddziałów wojskowych i służb, które na wytkniętej drodze marszu trafiały na nieprzewidzianą przeszkodę, stały beczynnymie godzinami, aż wreszcie zastawał je świt i z nim naloty, lub dopadał nieprzyjacielski pościg naziemny.

3) Skutki warunków atmosferycznych. W ciągu września a zwłaszcza w okresie najgorętszych działań wojennych, to znaczy w pierwszej połowie miesiąca, panowała wyjątkowa, stała, słoneczna pogoda o minimalnym zachmurzeniu. Sprzyjało to nieprzyjacielowi, bo jego przewaga w powietrzu mogła być całkowicie wyzyskana, a jego zmotoryzowane i pancerne jednostki poruszały się wszędzie na przełaj. Te korzystne dla nieprzyjaciela warunki atmosferyczne nie tylko zwiększały jego ogólną przewagę, ale działały ujemnie na ducha wojska polskiego, które z dnia na dzień oczekiwało zachmurzenia, deszczu i błota, gdy tymczasem dzień w dzień witało je niezmiennie jasno gorejące, niemiłosiernie słońce i najczystszy błękit nieba.

W udręce tych trzech czynników — nieprzyjacielskiej przewagi w powietrzu, paniki wśród własnej ludności i sprzyjających wrogowi warunków atmosferycznych — rozwijały się polskie działania wojenne.

BITWA GRANICZNA

Wielka bitwa graniczna rozpoczęta przez Niemców w dniu 1. IX trwała do dnia 3. IX i składała się z kilku krótkich i od siebie niezależnych śpiej. Były to:

- bój w rejonie Mławy,
- bój w Borach Tucholskich,
- bój nad górną Wartą,
- bój o Zagłębie Śląskie.

Armia „Modlin” (2 dywizje piechoty i 2 brygady kawalerii) trzymała jedną dywizję stanowiska obronne na północ od Mławy i osłaniała skrzydła obrony brygadami kawalerii. Niemcy uderzyli słabszymi siłami czołowo, natomiast głównymi obchodzili pozycje od północnego wschodu. Przeciwnatarcia dywizji odwodowej w dniu 3. IX. załamały się. Spowodowało to ogólny i pośpieszny odwrót armii, ponieważ dalsze trwanie pod Mławą groziło otoczeniem obrony.

W tym czasie grupa „Narew” (skład — jak armii „Modlin”) trwała w rejonie Ostrołęka—Łomża—Osowiec w luźnej styczności z nieprzyjacielem.

Armia „Toruń” (4 dywizje piechoty i jedna brygada kawalerii) była ugrupowana częścią sił na prawym brzegu Wisły w rejonie Grudziądz—Brodnica, częścią zaś w korytarzu pomorskim. W obszarze operacyjnym armii znajdował się korpus interwencyjny z odwodu naczelnego wodza z zadaniem uderzenia na Gdańsk. Jedną dywizję z tego korpusu była wysunięta aż na południe od Starogardu. Reszta rozpoczynała załadowania w rejonie Bydgoszcz—Inowrocław. To położenie było spowodowane zaniechaniem w ostatniej chwili zamiaru uderzenia na Gdańsk i postanowieniem wycofania całego korpusu do rejonu Skierniewic. Jednak lewe skrzydło armii „Toruń” trwało jeszcze w osłonie projektowanego uderzenia korpusu i to tym bardziej, że część korpusu znajdowała się jeszcze w głębi korytarza.

W tym położeniu armia otrzymała dwa uderzenia. Na siły tkwiące w korytarzu uderzyła 4 armia niemiecka, na dywizję broniącą rejon Grudziądz uderzył korpus piechoty.

Uderzenie 4 armii zostało zatrzymane pod Chojnicami, lecz bardziej na południe oddziały pancerny przedostały się przez Brdę na północ od Koronowa i w nocy z 1 na 2. IX weszły w głąb korytarza, odcinając dwie dywizje polskie oraz brygadę kawalerii. Wielokrotnie powtarzane próby przebicia się powiodły się tylko częściowo.

Równoczesne uderzenie na Grudziądz sponieważ powoli polską obronę. Wprawdzie przeprowadzona na pomoc dywizja spod Brodnicy zdołała zatrzymać Niemców, jednak niepoomyślny przebieg walki w korytarzu zagroził tyłom dywizyj walczących pod Grudziądzem, co skłoniło dowódcę armii do zarządzenia w dniu 3. IX odwrotu na Drwęcę.

W tym samym dniu dostało także zwinięte przedmieście bydgoskie. Tym sposobem przegrana w Borach Tucholskich otworzyła Niemcom połączenia lądowe między Rzeszą a Prusami Wschodnimi.

Główne uderzenie niemieckie wykonane siłami grupy armii „Południe” (8, 10 i 14 armia) trafiło w polską armię „Łódź” i armię „Kraków”. Armia „Poznań” działająca w Wielkopolsce pozostawała w tym czasie tylko w luźnej styczności ze słabym nieprzyjacielem.

Armia „Łódź” (4 dywizje piechoty i 2 brygady kawalerii) znalazła się w dniu 1. IX na dalekim przedpolu zasadniczej linii obronnej na Warcie i Widawce. Czołowe natarcie niemieckie odrzuciło najpierw polskie oddziały wysunięte nad granicę, a później siły główne. Od południa oskrzydlała broń pancerna. W dniu 3. IX główne siły armii „Łódź” cofały się śpiesznie na Wartę i Widawkę, mając na karku ścigające dywizje 8 armii. W tym samym czasie znacznie przeważające siły niemieckie uderzyły na odosobnioną dywizję piechoty z armii „Kraków”, broniącą rejonu Częstochowy. Dywizja została odrzucona nad granicę, otoczona pod Janowem i zniszczona. Odsoniło to koncentrację odwodów naczelnego dowództwa w rejonie Skarżyska.

Wytworzona w ten sposób wyrwa w polskim froncie została w dniu 3. IX poszerzona i pogłębiona. Niemiecka dywizja pancerna, działająca na styku armii „Łódź” i „Kraków” osiągnęła Kamięńsk i zagroziła rejonowi Piotrkowa, w którym zbierały się siły główne odwodowej armii „Prusy”.

Trzonem obrony armii „Kraków” (6 dywizyj piechoty, 1 brygada góraska, 1 brygada motorowa, 1 brygada kawalerii) był odcinek fortyfikacji powstałych na Górnym Śląsku. Uderzenia niemieckie wykonane przez 14 armię

I przez główne siły 10 armii oskrzydlały ten odcinek od północy i południa. Już w dniu 1. IX zaznaczyły się wiamania na kierunku Zawiercia i Pszczyny i po obydwóch stronach Tatr. Do południa następnego dnia grupa broniąca Zagłębia została oskrzydłona od strony Zawiercia i Pszczyny. Dywizja broniąca rejonu Pszczyny została pobita i odrzucona. Grupa broniąca Ząbłowa i przełęczy górskich została oskrzydłona od strony Pszczyny i Chabówki. Około południa cała armia była w odwrocie na linię Nidy i Dunajca, czyli aż o 180 km w tył. W dniu 3. IX armia kontynuowała odwrót, naciskana silnie w obszarze na południe od Wisły.

W tym czasie armia „Karpaty“ (2 dywizje piechoty i 2 brygady górskie) była jeszcze w toku koncentracji.

Podczas bitwy granicznej Rydz-Smigły pozostawał w Warszawie. Pomimo niepowodzeń trwał w zamiarze utrzymania zasadniczej linii obronnej. Decyzja ta nie odpowiadała groźnemu położeniu, które wytworzyło się w dniu 3. IX. Wskutek niemieckiego natarcia wszystkie armie polskie, z wyjątkiem skrajnych skrzydeł, były w odwrocie, niektóre zostały pobite, zasadnicza linia obronna została już częściowo utracona, odwody wciąż nie były skoncentrowane, w środku frontu powstała wyrwa, a — co najważniejsze — nieprzyjaciel wykazał bezapelacyjną przewagę w boju na ziemi i w powietrzu, zwyciężał na froncie i pogrążał obszar tyłowy w chaos. Szczególnie groźnym stawało się w tych warunkach położenie armii „Toruń“ i „Poznań“, które w razie dalszych postępów zagonu pancernego musiały być odcięte od swych naturalnych dróg odwrotu na Warszawę. Toteż w dniu 3. IX Smigły stanął po raz pierwszy w tej kampanii wobec niezmiernie trudnej sytuacji, w której nie chodziło już o utrzymanie tej lub innej linii, ale o wynik całej kampanii. W tym położeniu Smigły okazał się za słaby, ażeby popatrzyć rzeczywistości prosto w oczy i powziąć radykalną decyzję.

ROZERWANIE POLSKIEGO FRONTU

W najbliższych dniach musiało się wyjaśnić, czy uda się polskiej obronie zamknąć przerwę powstałą na styku armii „Łódź“ i „Kraków“, czy też niemieckiemu natarciu poszerzyć ją i pogłębić. W bitwie, która rozegrała się między 4 a 6. IX, polska obrona doznała niepowodzenia. Rozstrzygnął o tym bój przegrany przez armię „Prusy“ pod Piotrkowem i przez armię „Łódź“ nad Wartą i Widawką.

W bitwie granicznej zarysowało się także zagrożenie na obydwóch skrzydłach polskiego ugrupowania. Gdyby na lewym skrzydle Niemcom udało się przeskrydlić obronę na Dunajcu, to powstawała groźba obejścia średniego biegu Wisły od południa i zagrożenia połączeń z Rumunią. Gdyby na prawym skrzydle udało się nieprzyjacielowi sforsować Narew, to wydostawał się na tyły głównych sił polskich związanych w łuku Wisły i zagrażał stolicy od wschodu. W bitwie o linię Narwi ważyło się więc przede wszystkim bezpieczeństwo tyłów wojska polskiego i przegrana mogła mieć rozstrzygający wpływ na losy kampanii. Natomiast przegrana na jednym i na drugim skrzydle groziły otoczeniem wojska polskiego od północy i południa.

O powodzeniu nieprzyjaciela rozstrzygnął na lewym skrzydle przegrany bój nad Dunajcem, na prawym — nieporozumienie pod Rożanem.

W dniu 4. IX niemiecka dywizja pancerna działająca wzdłuż szosy Radomsko—Piotrków otworzyła sobie po krótkiej walce drogę na Piotrków. W następnym dniu zetknęła się z północnym skrzydłem armii „Prusy“. W godzinach popołudniowych rozbiła czołową dywizję i zajęła Piotrków. W nocy z 5 na 6. IX odparła natarcie następnej dywizji i rozprószyła ją. W dniu 6. IX z kolei rozbiła w rejonie Tomaszowa trzecią dywizję. Oddziały polskie odchodziły w nieładzie za Pilicę, odstawiając zupełnie kierunek na Warszawę.

W tym czasie armia „Łódź“ osiągnęła w odwrocie linię Warty i Widawki, lecz w obliczu napierającego nieprzyjaciela nie zdołała już zorganizować się obronnie. W dniu 5. IX została zepchnięta w nieładzie na Łódź. Równocześnie nieprzyjaciel zbliżał się do Skarżyska i Kielc, zagrażając koncentracji się w tym rejonie lewemu skrzydłu armii „Prusy“.

Po obydwóch stronach górnej Wisły nieprzyjaciel ścigał czołową armię „Kraków“ i oskrzydlał ją szybkimi związkami od południa. W dniu 6. IX rozerwał styk armii „Kraków“ i armii „Karpaty“, zajął Tarnów, odrzucił w krytycznym położeniu południowe skrzydło armii „Kraków“ w widły Wisły i Sanu oraz ścigał szybko ustępującą na Wistokę armię „Karpaty“.

Na północy armia „Modlin“ odchodziła w nieporządku na Bug—Narew i Wisłę. Nieprzyjaciel ścigał mniejszymi siłami, natomiast główny wysiłek skierował na dolną Narew, broniąca przez odwodową grupę „Niemen“ i grupę „Narew“. W dniu 6. IX niemiecka brygada kawalerii opanowała przedmieście Rożan. Wskutek chaosu w dowodzeniu dowódcy obydwóch polskich dywizji działających w tym rejonie otrzymali rozkaz odejścia na Bug. W czasie nocnego marszu dywizje zostały zaskoczone ogniem przez niemieckie podjazdy i uległy panice. W tych warunkach usiłowania naczelnego dowództwa zawrócenia dywizji z powrotem na Rożan spełzły na ni-

czym i linia dolnej Narwi została stracona.

W tym czasie armie „Toruń“ i „Poznań“ miały tylko luźną styczność z nieprzyjacielem i położenie ich nie uległo zmianie.

W polskim naczelnym dowództwie dni 5 i 6. IX były czarnymi dniami tej kampanii. Już w dniu 5. IX Rydz-Smigły był zmuszony dać armii „Łódź“ rozkaz odwrotu na Wisłę. W dniu 6. IX stało się jasne, że północne skrzydło armii „Prusy“ zostało pobite i odsłoniło Warszawę. W ten sposób w środku polskiego ugrupowania została wybita przerwa między Pilicą a Bzurą, której nie było czym zamknąć. Prostem następstwem tego było odcięcie odwrotu armii „Poznań“ i „Toruń“, tkwiących jeszcze pod Kołem, Żninem i Bydgoszczą, czyli o 180—280 km od przepraw na Wisłę w rejonie Warszawy.

W tym ciężkim położeniu Rydz-Smigły nakazał ogólny odwrót z zachodniego przedpola Wisły i przejście do obrony na linii Narwi, Wisły i Dunajca. Sam zaś opuścił zagrożoną Warszawę i odjechał do Brzeźcia. Decyzja odwrotu za Wisłę była już jednak spóźniona, ponieważ linia Narwi i Dunajca była przełamana, a przeprawy w rejonie Warszawy zagrożone przez broń pancerną. W dodatku Rydz-Smigły dał tylko armiom rozkazy wyznaczające kierunek odwrotu z ostrzeżeniem, że mogą być odcięte. Nie widział więc na swoim szczblelę potrzeby kierowania odwrotem kilku armii, czyli manewru odwrotowego. Wypuścił z rąk stery dowodzenia tym bardziej, że w Brzeźcu nie miał zorganizowanej łączności i nie mógł w ogóle dowodzić. Nie ulega wątpliwości, że w tych warunkach Smigły powinien był znieść groźbę i pozostać w Warszawie. Przyszedł już bowiem czas wielkich decyzji, czas, w którym trzeba było chcieć i umieć znieść wielkie ryzyko. Historia schyliłaby czoło przed naczelnym wodzem, który pozostał w zagrożonej stolicy, czy też nawet przeniósł się ze ścisłym sztabem do Kutna, ażeby stamtąd kierować bezpośrednio odwrotem swego najsilniejszego ugrupowania (armie „Toruń“ i „Poznań“). Natomiast historia nie przebaczy Rydzowi wyjazdu tam, skąd nie mógł dowodzić. Naród dojrzał wówczas i zawsze będzie w tym widzieć tylko — ucieczkę.

KATASTROFA

Wszystko, a przynajmniej prawie wszystko, co się stało po 6. IX, wyprzedzało już o wiele długości rozkazy wydawane przez nie orientujące się i pozbawione odwodów naczelnego dowództwa, działo się samo z siebie i biegło z zamkniętymi oczyma ku zagładzie. W wyniku doszło do wielkiej katastrofy w łuku Wisły i do zupełnego rozkładu na wschodzie.

Na katastrofę w łuku Wisły złożyło się zniszczenie armii „Prusy“, „Poznań“ i „Toruń“, czyli głównych sił działających na zachodnim brzegu Wisły.

Zniszczenie armii „Prusy“ dokonało się w dwóch grupach. Północna rozbita przez broń pancerną i odrzucona na południe od Pilicy usiłowała przeprawić się przez Wisłę pod Maciejowicami. Nieprzyjaciel zamknął jednak przeprawę bombardowaniami lotniczymi i odciął dostęp do rzeki oddziałami zmotoryzowanymi. Przeprawili się tylko szczątki. Południowe zgrupowanie pozostawało zbyt długo w rejonie Skarżyska i zostało w odwrocie na Wisłę otoczone i zniszczone pod Ilżą. Przebiły się tylko nieliczne grupki.

Odwrot armii „Toruń“ i „Poznań“ doprowadził do największej w tej kampanii bitwy nad Bzurą.

Gen. Kutrzeba, dowódca armii „Poznań“, usiłował już kilkakrotnie przejść do działań zaczepnych w kierunku południowym, ażeby dopomóc sąsiedniej armii „Łódź“. Inicjatywa ta była bezskuteczna najprzód z powodu odmowy naczelnego dowództwa, później z powodu szybkiego odwrotu armii „Łódź“. Pomimo to gen. Kutrzeba widział nadal możliwość zwrotu zaczepnego w lewe skrzydło 8. armii niemieckiej, które przesunęło się pomiędzy Bzurą a rejonem Łodzi, to znaczy równoległe do armii „Poznań“, zmierzającej wzdłuż północnego brzegu Bzury w kierunku na Sochaczew i Warszawę. W dniu 7. IX gen. Kutrzeba uzyskał zgodę naczelnego dowództwa, a w dniu 10. IX uderzył trzema dywizjami piechoty osłanianymi na skrzydłach przez brygady kawalerii w kierunku Łęczycy—Ozorków—Łódź. Wskutek tego działania został zatrzymany odwrót armii „Toruń“. Wprawdzie nie wzięta ona bezpośredniego udziału w natarciu, ale została użyta do jego osłony. Po początkowym powodzeniu natarcie armii „Poznań“ załamała się z powodu niedostatecznych sił, jakie rzucono do walki. Zaalarmowało jednak nieprzyjaciela i uświadomiło mu obecność znacznych sił polskich w rejonie Kutna. Cała 8. armia niemiecka i część 10. armii skrzyły więc ku północy i wyszły szerokim frontem na Bzurę. Korpus pancerny został skierowany spod Warszawy do rejonu Sochaczewa. Zbiegło się to z decyzją gen. Kutrzeby przzerwania natarcia, wycofania się z powrotem na północny brzeg Bzury i otwarcia sobie drogi przez Sochaczew. Ten skomplikowany manewr miała osłonić armia „Toruń“ uderzeniem przez Łowicz na Skierniowiec. Jednak wskutek wiadomości o zbliżaniu się broni pancernej do Sochaczewa dowódca armii „Toruń“ zatrzymał z kolei swoje natarcie i przeszedł do obrony nad Bzurą. W dniu 16. IX nieprzyjaciel rozpoczął rozstrzygające działania zaczepne na ziemi

i w powietrzu. Broń pancerna wdarła się głęboko w polskie ugrupowanie i uderzyła w skrzydło armii „Poznań“. Silne lotnictwo uniemożliwiło ruch polskich oddziałów. Koncentryczne natarcie dywizji piechoty ścisłego obydwie armie polskie na wąskiej przestrzeni na zachód od Sochaczewa. W dniu 17. IX bitwa była skończona. Przez puszcę kampańską przedarli się do Warszawy nieliczne oddziały.

Z katastrofy w łuku Wisły zdołały wydostać się tylko resztki armii „Łódź“, które gen. Thommé wyprowadził do Modlina, oraz prawe skrzydło armii „Kraków“, które pomimo nacisku nieprzyjaciela zdołało przeprawić się przez Wisłę pod Baranowem.

Równocześnie doszło do zupełnego rozkładu sił polskich na wschodzie. Z trzech koncepcji operacyjnych, które naczelnego dowództwa usiłowało urzeczywistnić, a mianowicie obrony na kolejnych liniach: 1) Narew—Wisła—Dunajec, 2) Polesie—Bug—San, 3) Dniestr—Stryj, pierwsza załamała się natychmiast, a do wykonania dwóch następnych w ogóle nie doszło.

Załamanie obrony na linii Narew—Wisła—Dunajec nastąpiło wskutek głębokiego przełamania obydwóch skrzydeł. Po opuszczeniu dolnej Narwi polskie naczelnego dowództwo usiłowało utrzymać linię dolnego Bugu. Jednak już w dniu 9. IX silny nieprzyjaciel sforsował Bug pod Wyszokowem i odrzucił polskie dywizje (grupa gen. Przedzimirskiego) na Mińsk Mazowiecki i Siedlce. W Małopolsce armia „Karpaty“ była w pełnym odwrocie na San pod Przemyślem oskrzydłona dwustronnie przez kilkakrotnie przeważającego nieprzyjaciela. Trwał tylko front na środkowej Wisłę obsadzony wprawdzie słabymi i improwizowanymi siłami nowoutworzonych armii „Warszawa“ i „Lublin“, lecz pozostawiony na razie w spokoju przez nieprzyjaciela zajętego likwidacją polskich sił w łuku Wisły.

W tych warunkach Rydz-Smigły zrezygnował (9. IX) z utrzymania linii Narew—Wisła—Dunajec i postanowił przenieść obronę na Bug i San z oparciem prawego skrzydła o bagna poleskie. W tym celu utworzył trzy fronty. Północny (grupa „Narew“, „Grodno“ i gen. Przedzimirski) miał się wycofać na Bug od Brzeźcia do Hrubieszowa, środkowy (armia „Lublin“) do rejonu Tomaszowa Lubelskiego i południowy (armie „Kraków“ i „Karpaty“) miał wytrwać na Sanie. Armia „Warszawa“ miała bronić się w odosobnieniu. Koncepcja ta nie została wykonana, ponieważ grupa „Narew“ została otoczona i zniszczona, silne niemieckie oddziały pancerne wyszły na Bug między Brzeźciem a Hrubieszowem, zanim front północny zdołał tam dotrzeć, armia „Lublin“ została przepołowiona i rozprószona, armia „Kraków“ została odcięta od armii „Karpaty“, a armia „Karpaty“ opuściła linię Sanu. W tym beznadziejnym położeniu Rydz-Smigły usiłował zorganizować przynajmniej obronę tzw. przedmieścia rumuńskiego, czyli linii Dniestru i Stryja. Wobec okrążenia wszystkich zgrupowań polskich było to jednak niewykonalne. Ponadto w dniu 17. IX wojsko radzieckie przekroczyło granicę polską. Pod wpływem tej wiadomości Smigły, który znajdował się już wówczas w Kołomyi, opuścił kraj i udał się do Rumunii.

W kraju gasły kolejno poszczególne ogniska walki. Około 20. IX skapitulowały po ciężkiej walce w rejonie Tomaszowa Lubelskiego armie „Kraków“ i „Lublin“. W kilka dni później w tym samym rejonie również po zażartej walce skapitulowały dywizje frontu północnego. Wyniszczona armia „Karpaty“ skapitulowała pod Lwowem w dniu 20. IX. W dwa dni później poddał się Lwów. Obrona Warszawy otoczona ze wszystkich stron, bombardowana z ziemi i powietrza, skapitulowała w dniu 27. IX. W podobnych okolicznościach obrona Modlina złożyła broń w dniu 29. IX. Obrona wybrzeża morskiego walczyła bohatercko pomimo zupełnego odosobnienia do dnia 1. X. Ostatnią walkę stoczyła w dniu 5. X grupa obrony Polesia (gen. F. Kleberg) pod Radzyniem. Po tym dniu rozpoczęła się skryta walka z najeźdźcą.

Bezpośrednim następstwem przegranej kampanii było zniszczenie polskiej siły zbrojnej i okupacja kraju. Kampania miała jednak także wielkie ogólnoświatowe znaczenie wojskowe i polityczne.

Znaczenie wojskowe polegało na tym, że kampania była wstępna w wojnie i ujawniła nowe, niemieckie metody walki. Potwierdziła także przedwrześniowe przypuszczenia o skuteczności broni pancernej, szybkich związków i znaczeniu przewagi powietrznej. Była więc źródłem bezcennych doświadczeń. Nie została jednak wyzyskana przez dowództwo francuskie i angielskie, ponieważ błyskawiczne tempo działań i ogólna dezorganizacja utrudniły śledzenie działań. Poza tym całą winę przegranej przypisano złemu dowodzeniu i nieprzygotowaniu Polski do wojny. W ten sposób niemieckie sposoby wojenne nie wystąpiły na jaw z dostateczną wyrazistością i będąc raz zaskoczeniem w Polsce, stały się drugi raz zaskoczeniem na zachodzie.

Polityczne znaczenie kampanii polegało na tym, że obalona została przegroda między ZSR i Niemcami. Potęgi te stanęły oko w oko. Tylko sprawą czasu było, kiedy dojdzie między nimi do starcia. Od jego wyniku zależał los świata, a także i los Polski.

Największe znaczenie ma kampania wrześniowa oczywiście dla nas samych. Ogólnie biorąc, obaliła ona świat fikcyj, jaki stworzyliśmy sobie w ciągu 20 lat Polski odrodzonej. Między innymi dała nam poglądową lekcję wojskową. Po pierwsze Polska jest za małym organizmem i rozporządza za płytким obszarem, ażeby móc własnymi siłami obronić swą niepodległość. Ma do wyboru albo z wczesną osiągnąć ściśle współdziałanie z innym dostatecznie potężnym organizmem, albo wyruszyć w pole ze zbyt słabą siłą zbrojną, czyli dać się pobić i oddać na łaskę tryumfującego najeźdźcy. Po drugie Polska wymaga w wypadku wojny natychmiastowej pomocy i dlatego sojusz z odległymi organizmami, choćby to były nawet największe potęgi, jest dla nas pod względem wojskowym mało wartościowy. Te dwa doświadczenia są dzisiaj zupełnie jasne. Stały się już pewnikami. Mało kto zdawał sobie z nich sprawę przed wrześniem 1939 roku.

Jerzy Kirchmayer

TADEUSZ RÓŻEWICZ

Elegia

Moja samotność jest jak czarna karla, nie odwraca jej wiatr.

Ja idę nigdzie, nie mam domu, wiatr zdmuchnął karły kolorowe niesie —

liście
piaki sfrunęły z tapety
bezdome, wija gniazda
w wielkomejskich parkach.
1939 ROK, WRZESIEŃ.

Płatek rozpaczy
zwidzam domy cudze
przecięte ognistym ostrzem bomby,
głębokie studnie pełne nieba,
domy — ślady,
oczdolony.
W zdławionych gardłach piwnic
trwoga

...echo
wołam...

Z popiołu jeszcze kilka wierszy
ognistym piętłem łak znaczonych
jak włosy złote,
białe dłonie
zabitej żony.

...Ziemia o oddech lżejsza,
martwa, pusta,
o jedno imię milczą
usta.
Przez palce
o miłość próżne
srebrzysty Ariel ucieka,
wiatr niesie garść popiołu,
kształt
umarłego człowieka.

Ranny

Gniłem jak owoc zepsuty,
biały kłębek cuchnącej bielizny
cały w pasy niebieskie pocieły
i blizny.

Szeleściły nade mną siostry
i lekarze płynęli
jak chmury jodu
dokoła mej głowy,
leżałem w ich szorstkich, ostrych
dłoniach,
ślepe szczęście w ciemności ciśnięte,
ze szczęki bólem do krwi zacięte
ciekło psie skomlenie.

...Świat
czulem,
słyszałem,
węsylałam z nim
jak pies,

aż
w dłoni tak jasnowidzącej
jak przestrzelone oczy
odnalazłem zgubiony kształt —
kształt płomienia:
pierś
wyluskała z tej nocy
ślepa dłoń.

To ty siostrze
pochylna nade mną
miłosierdzia gałąź
a
ciemność ciałem się stała.

Na widnokręgu

Na widnokręgu wschodzi
człowiek
na widnokręgu powiek
idąc
złocisty sieje blask
w dłoniach zapowiedź
niesie żniw
na niebie obłok
pełen nut
na głowie lazurowy kask
z ramienia
urodzajny rzut
ziemię i niebo
spina
w łuk
widnokręgu.

WILHELM MACH

Rdza

Od tamtego dnia płaski horyzont Olchówki, poprzedzony tu i ówdzie szkarpami uciekających poza niki pagórki drózek polnych, zrosł się we wspomnieniach Andrzeja ze znie-nawidzonym profilem ojcowej twarzy. Nawet pamiętna scena miłosna, rozegrana pomiędzy panem Kajetanem, a ciotką Julią na tarasie, scena, która wyzwoliła w Andrzeju od dawna drzemiące przeczucia i nieświadomione osady w stosunku do mętnych treści, osłanianych groteskową brzydota ojcowego oblicza — nie zdołała wywołać tak ostatecznego obrzydzenia, jak to okrutne, ukradkowe obserwowanie jego twarzy na tle ukochanego krajobrazu. Teraz, gdy wstrętny flirt ojca ze szwagierką, podpatrzony akurat w dniu zerwania z Ireną, przyspieszył decyzję Andrzeja, aby wyjechać do miasta i tam — przy pomocy przyjaciół — szukać zapomnienia w pracy dla „sprawy” — wiedział, że do domu nie wróci i że ojciec, odprowadzając go na dworzec kolejowy, od-daje mu ostatnią rodzicielską przysługę. Tym większa przyczyna, by się postaci ojca przy-rzecz dobrze i gruntownie.

Nad płaską tacą olchowskich pól, wyłożonych — niby chlebem i serem — ciemnymi skibami oraniny i żółtawymi plastrami jarki — siadł ogromny, błękitny kłos nieba, po którym wałęsały się, podobnie do niezgrabnych owadów, białe obłoki. Mocny, ciepły wiatr dął od południa i igrał z połami zarzuconego luźno na barki Andrzeja płaszcz. Pan Kajetan dreptał ochoczo, acz z niejakim trudem, po prawej ręce syna. Co chwila oblał dynda-jący na wietrze, pusty rekaw jego zarzutki i mięsoił go bezradnie w zwiotczałej dłoni, bądź z głębokim westchnieniem przyciskał do piersi. Asmatyczny oddech i śmieszne drganie grdyki towarzyszyły tym objawom niedo-lężnej czułości, co się ostrymi zadziorami gniewu wwiercały w sploty Andrzeja czucia. W tle powichrzonych wrażeń, pełnych nienazwanej, dusznej udręki i jałowego żalu, wznosiła się i opadała jednostajna muzyka drutów telegraficznych. Najlepiej byłoby prze-mówić, zagałę jakoś rozmowę, która powinna-by teraz, na ostatku, coś między nimi oby-dwoma ułożyć i załatwić, coś, co lodową ścia-ną przedzieliło ich od lat. Lecz markotna, spłaszczona twarz pana Kajetana nie zache-cała do pogwarki, — zresztą wiatr rozsypałby na pewno każde słowo na drobiny sypek i niepowiązanych dźwięków. Aby do reszty usprawiedliwić milczenie przed ojcem i przed sobą, ułożył Andrzej twarz w grymas skupio-nej, steżalej uwagi: zwarł zęby, ściągając ku dołowi kąty rozchylonych ust, przmrużył oczy tak, jakby marsz po równej szosie absor-bował w równej mierze jego umysł, co moto-cyklistę prowadzenie maszyny.

Wkrótce jednak powrócił do złodziejskiego podglądania ojcowskiego profilu. Nie mógł przy tym wyrzec się ulubionej od czasów chłopi-czych zabawy, którą nazywał „poskromie-niem perspektywy”. Igraszka ta polegała na łączeniu w jednopłaszczyznowe całości przed-miotów bliskich i odległych. Stwierdzenie, że pomiędzy dwa rozczapierzone palce można zmieścić cały kościół olchowski wraz z pleba-nią, napętniała zawsze Andrzeja naiwnym i płochym zadowoleniem. Tym razem zabawa zyskała drapieżny przydźwięk złośliwości, gdyż jej przedmiotem stała się twarz ojca. Po raz setny musiał Andrzej przyznać, że jej podobieństwo do kuchennej wodociągu było zdumiewające: smutny, blisko nasady wygięty i flakowato zwisający nos, tkwił nad wydłu-żoną dolną wargą, jak kran nad zlewem. War-ga ta, wydatna z natury, wysuwała się więcej jeszcze ku przodowi w chwilach silniejszych emocyj, wywijając się na zewnątrz emaliowa-nym, lepkiem obrzeżem. Między kurkiem a zle-wem utknał żalostny strzęp włosów, niby po-niechana przez zapomnienie szczotka do szo-rowania garnków: to wąsy pana Kajetana. Wąsy te, jakkolwiek mizerne, wystarczyły je-dnak, aby pokryć na ćwierć sekundy, niby strzęchą, małą kapliczkę przy bocznej drodze. A oto u kapelusza ojcowego wyrasta, niby wspaniały pióropusz, brzoza kępa, obsy-pana złotym nalotem młodych listków. Drobne potknięcie się — pióropusz odpada, podczas gdy nos pana Kajetana uderza desperacko o granatowy blok lasów wolicich. Teraz szosa gładka, jak stół — i pan Kajetan ze sprawno-ścią magika pochłania otwartymi ustami sznu-rek linii widokowej, najeżony guzkami przycupniętych wieśniaczych chałup. Podnie-siony do półłokosu żuraw studzienny godzi prosto w oko czarodziejki. — Uważaj, ojcie! — przeszło gładko. — Zbliżają się do krzyża na wzgórku: tzw. „Grunwaldu” — połowa drogi. Teraz postać ojca wyrasta coraz więcej nad widnokrąg. Brzegiem kapelusza, niby plu-giem, rozorywa miazgą głębi błękitu; tę dużą, burą chmurę, przerzucił sobie przez ramię, jak worek; a teraz jest już całkiem wysoko i la-ską, niby łąkami maselnicy, ubija mleczną pianę falujących obtoczków. Już się cały po-nad ziemię wynurzył — ogromny nagle i do-stojny: lecz w tej chwili wyrasta nad nim czarne ramię krzyża i tępa groźba potrzasa przed wilgotnymi oczyma i wywinętą wargą władcy przestworzy. Nim krzyż zdołał ugo-dzić wypukłe czoło — pan Kajetan przystanął.

— Andrzeju... — Szybki ruch grdyki w gó-rę i w dół.
— Co, tato?
— Nie zmęczone się? Kawał drogi, psia-krew, panietego!
— Chyba ojciec; dla mnie to nic. Możemy zresztą odocząć.
— Tak, tak, choć myślę — wiesz co myślę? Na dworcu jest bufet i — tamtego, panie-dziejaszku, jakąś wódeczkę da się wypić. Do-brze ci na drogę zrobi. Grosze mam. Wiesz, panietego: Bortmann! Dobrze za te tarcice, psia jego mać, zapłacił!
— E, mógłby ojciec skończyć handle z tym szwabem. Nie korci mnie wódka za jego pie-niądze.
— Gdzie tam za jego pieniądze, padziejasz-ku! Za nasze drzewo.
— To jeszcze gorzej.
— Co, tamtego, ty mi mówisz! Miałem, sprzedałem. Szwab — to, padziejaszku, wiem i z nim się nie zadaje, a pieniądze takie u nie-go, jak i gdzie indziej...

Ostatnie słowa gubią się w nagłym porywie wiatru. Andrzej potrząsa ramieniem i rusza dalej. „Grunwald” poza nimi. Pan Kajetan znów zapada w ziemię. Pochyliła ruń kładzie się miękkim ruchem pod jego brzydką głowę. Z wierzby przydrożnych osypuje się chmara wron i czarnym wirem kołuje nad dwoma wę-drowcami.

Weszli w opłotki, upstrzone wietrzącą się pościelą i wypraną bielizną. Wiatr przycupnął poza krzywymi stodółkami — przycichła mu-zyka telegraficznych drutów. Teraz dopiero słycać dźwięk własnych kroków. Ostro skan-dowany krok podkutych butów Andrzeja i człapanie pana Kajetana wyznacza na bia-łej taśmie drogi pasmo niemej, jakby punktami i kreskami alfabetu Morsego zapisanej rozmowy między ojcem i synem.

Ojciec: — Droga opada ku miastu i za parę chwil przyjdzie nam się pożegnać. Cały czas myślę, co ci rzec i co ty mi powiesz. Gdybym miał pewność, że twoje harde czoło nie umknie pocałunkowi ojca, że oczy twoje nie odparują uragilnym zdziwieniem tej ostatniej, drobnej czułości, lżej by mi było. Pożegnanie boli nie dla samej rozłąki: boli też przez obawę śmiesz-nego gestu. Oto tracę cię znowu. Nie wiem dłaczego mówię „znowu”, kiedy zgubiłem cię już dawno — raz na zawsze.

Syn: — Dobrze, że o tym wiesz. Gdyby nie twoja pycha ojcowska, która każdy mój po-wrót do domu każe ci nazywać „odnalezie-niem syna” — nie cierpiałbyś dziś. Niepo-trzebnie śnisz mit o „synu marnotrawnym” — marnotrawny ojcie!

Ojciec: A jednak, chcąc, czy nie — pozo-stajesz moim synem. Nosisz moje nazwisko: to nie frazes! To prawda mojej krwi w twoich żyłach. Łączy nas wiekiustym łańcuchem nie-odwołalności pewnej wiosennej nocy sprzed 25-ciu lat.

Syn: — Jesteś zarozumiały, staruszkule! Czy się spodziewasz, że tym łańcuchem przykujesz moją straconą dla ciebie miłość, jak psa do budy? Cóż znaczyć może dla moich uczuć twoja jurna ochota sprzed ćwierćwiecza? Je-steś dla mnie obcym człowiekiem, panie Ka-jetanie!

IAN SZTAUDYNGER

Kapitulacja Warszawy

Wyschnijcie oczy, dość już łez,
Nie zmyjesz łzą niesławy,
O serce weź na siebie trud:
Kapitulację Warszawy.

Cóż księżę, ty przeczułeś te dni, jedziesz nagi,
Twój most przedzielił cię od zbawicielki Pragi,
Jedziesz nagi, jak każdy, co głowę z pogromu ocala,
Znasz odwrót. I znasz wierność, którą kryje fala.
Jam miał różany krzew kwitnący czerwono,
Nie czas łączyć róż, kiedy lasy płoną,
Aie, jak kazać sercu, które kocha różę?
Żaluję róż, chociaż mi dom zwaliły burze.

Żaluję Świętokrzyskiej, gdzie pod pachę z księgą,
Chodziłem Wisłą Tamką związując, jak wstęgą,
I żaluję pomników, co się z sercem zrosły,
Tu Chopin w śmieszniejszym cieniu wierzby domorosłej,
Tu Zygmunt, nowy słupnik, stoi na kolumnie,
Tak jakoś po królewsku dostojnie i dumnie,
Tu Kopernik odkrycie robi nader smutne,
Że ziemia jest od nieba daleko okrutnie,
Tu Mickiewicz zbłąkany w uliczny ruch błędny
Zdaje się zastanawiać do nieba kłódy
Pójść na przelaj od serca...

Lublin, 1944

Ojciec: — A jednak twoja matka kochała mnie. Czy pietyzm, jakim spowijasz pamięć o niej, nie rzuca żadnego ciepłego odblasku na mnie? Zresztą: poświęciłem dla ciebie wszyst-ko. I jeżeli nie jestem godny, to młody boha-terku, twojego przywiązania, to zasługuje chyba przynajmniej na...

Syn: — Utknąłeś na niebezpiecznym sło-wie. Chciałeś powiedzieć: „przynajmniej na szacunek” — prawda? Na „siwy włos”, ze względu na łysinę, nawet się nie powołujesz: to dobrze! Coś ci powiem o szacunku, papo. Nie rumień się: nie myślę nawet w tej chwili o dziewczęco smukłych nogach ciotki Julii, które z taką troską okrywasz płemem przy la-da okazji. Pozostawiam w spokoju hodowlę starych romansów w cieplarni olchowskiej nudy. Ale: czy ty chcesz ojcie, bym ci mówił prawdę? Jeżeli boli — powiedz. Zamilknę.

Ojciec: — „Prawda” bywa urojeniem mło-dości. Pod jej maską zbyt często tai się krzywda. Mów jednak.

Syn: — Powiedziałeś: „Poświęciłem dla cie-bie wszystko”. Pytam: co? Co ty mi dałeś ojcie? Nie majątek: o tym wiesz dobrze, sta-ry utracjuszu, karnie dymisjonowany panie ex-majorze! Nie Boga, w którego sam nigdy nie wierzyłeś. Pamiętam ja dobrze twoje nauki religijne: „Bóg jest po to, aby się lu-dzie bali kłaść i zabijać. Wierz, lub nie — two-ja rzecz — byleś nie mówił nikomu, że Boga nie ma. Mógłbyś przez to stracić swój zega-rek”. — A może zawdzięczam ci dobry przy-kład? Podstawy moralne? Instynkt sprawie-dliwości jednostkowej i społecznej? Wystar-czy chyba przypomnieć historię z Anusią: jak to się wtedy wściekałeś, że twój syn, twój syn dał się zbałamucić — służącemu! Omal że się sam z nią nie ożeniłeś — z rozpaczy. Znalazłeś jednak inne wyjście — wieraś co o tym. Ojcie, ojcie! Na każdym zakręcie życia jawisz mi się nie drogowskazem, lecz straszylem i zmo-rą. Każdy prosty odruch umiałeś skrzywić, każdą zdrową myśl skazić, każdą wiarę za-truć podejrzliwością. O, wystarczyło ci na to doświadczenia długiego życia. Znajomości wszelkich zakamarków konwenansu i obłudy towarzyskiej, fałszu zatechłej tradycji, ma-gazynów sekretnej, obrzydliwej mądrości, przekazywanej cichaczem z pokolenia na po-kolenie.

Ojciec: — Nie poruszaj grobów, Andrzeju. To już naprawdę boli i ojca i starca. Imiona twoich przodków zapisała historia. Odmawiasz i mnie — i im — wszelkiej dla ciebie zasługi. A jednak im — a może i mnie, zawdzięczasz rzecz ważną i wielką. „Zatechła tradycja” przekazała ci w udziale skarb pieczołowicie pielęgnowany: miłość ojczyzny. Przeczuwam cel twojej dzisiejszej podróży. Wiedz: jeśli na krzyżowej drodze, na którą wstępujesz, znaj-diesz owoce honoru, dumy, godności mę-skiej — wspomnij, że dojrzały one z ziaren, posianych w twym sercu jeszcze w dzieciń-stwie; wspomnij wówczas dom rodzinny i ry-ngraf z Orłem Białym, zawieszony nad drzwia-mi świetlicy.

Syn: — Wytoczyłeś najcięższe działo: Oj-czyzna! Będziecie wpierał we mnie może, że to ty mnie Polakiem zrobiłeś. Że ten orzeł biały, wśród nielicznych twoich kawalerskich ruchomości w dom matki zabląkany (nie wia-domo z której kasarni zabrałeś go!) — że ten symbol twojego młodego, białoczerwonego sentymentalizmu... nie, to już zbyt śmieszne, staruszkule! Czy mam cię znowu zawstydzić przypomnieniem, jak skwapliwie zdejnowa-łeś z gwoździa ten twój sławetny ryngraf, jak pośpiesznie wpakowałeś go pod materac wte-

dy, w ziemie, gdy zobaczyłeś przed gankiem bryczkę grubego Bortmanna?

Bury obłok zarzucił na słońce watawaną szubę. Zwiwna fala cienia przemknęła ci-cho, jak obłrzyłmi, miękkooskrzydły nietoperz, przez dachy domów i porozwieszane na pło-tach pierzyny, gasząc o kilka tonów rozkrzy-czaną gamę kolorów. Andrzej przeskoczył przez rów i maszeruje wydeptaną w glinie ścieżką przydrożną. Wilgotny, elastyczny jak guma grunt tłumi odgłos jego kroków. Pan Kajetan wlece się środkiem szosy sam. Star-cze, rozlaźle człapanie wyznacza na białej ta-smie drogi stenogram ostatnich słów niemej rozmowy.

— Andrzeju — Andrzeju. Już ci nic nie odpowiem. Serce moje spustoszało i zwiędło — i nie ma siły do walki ze sprawiedliwą i okru-tną młodością. Z każdym krokiem zbliża się kres naszej wspólnej drogi i lepiej mi twarzy twojej nauczyć się na pamięć, bo coś mi zo-stanie potem — po tobie? Ze zdumieniem wpatruję się w twoją meską, wyniosłą gło-wę, w sępie skrzydło włosów, wychynięte spod sportowej furazerki, w sinawy ślad zarostu na jędrnych policzkach, w wykrój ust, co miały już czas poznać słodycz miłości i gorzki smak świata — i nie znajduję sposobu na ten lęk, na lęk dławiący i duszny, że nie pozwoliś objąć mi tej głowy na pożegnanie — o ty, straszliwie bliski — a tak obcy — synu mój.

Mizerny, zagubiony wśród potłuczonych cze-repów i wszelakiego śmiecia potoczek zwiastuje bliskość miasteczka. Pan Kajetan przystaje, opiera się o poręcz mostu i wyjmuje pa-pierośnicę.

— Pozwól, Andrzeju. O czym ty tak ciągle, paniedzieju, rozmyślasz? Nieraz mi się wy-daje, jakbyś się na mnie, panietego, gniewał — bocył!

— E, skądże znowu? Ojciec wie, jak to u mnie: idę drogą, a w głowie mi się pisze...

— Piszę? Kto pisze? Jak to: tak — panie-tego, „na chodząco”? — Pan Kajetan mru-ga szybko powiekami i marszczy w zabawnym skupieniu wyleniale, ryże brwi. — To tak zawsze z tym Andrzejem: nigdy nie wiadomo co i jak; całkiem, jak matka nieboszczka, panie-tego!

Andrzej po raz pierwszy wybucha szcze-rym, chłopcim śmiechem:

— Niech się tato nie przejmuj. Nie wszy-sczy „tacy” umierają młodo na suchoty. To się tylko w Olchówce tak o tym mówi!

— No, no... — Westchnienie i krągły ruch grdyki w górę i w dół. Pałaj; Andrzej przy-głąda się z uwagą okrucinowi żaru na końcu papierosa i nagle z całą siłą spada na niego wspomnienie ust Ireny. Chłodny prąd bólu splywa wzdłuż ciała i rozlewa się w udach mrowiastym odrętwieniem. A potem myśl, rozpalona krzykiem, jak płonąca zagiew: Za-wrócić! Zawrócić! Jeszcze można wszystko tamto odwołać — niech będzie tak, jak było — przy niej, z nią!

— Wiesz co, tato? Miałeś rację tam na pa-górku z tym bufetem na dworcu; lepiej po-spieszyć i wypić parę kieliszków — na poże-gnanie.

Ujmuję ojca pod ramię i uśmiecha się do niego przymilnie. Pan Kajetan promienieje.

— Tak to rozumie, panietego! Nie bę-dziesz kiedyś narzekał, że cię ojciec, padzie-jaszku, tak „na sucho” w świat wyprawiał!

Idą. Andrzej rad by podtrzymać nawiązaną rozmowę, lecz znowu każde pomyślane słowo, zda się, że porasta ostrą, rybią pletwą — i dławi i nie chce przez gardło przejść. Druty telegraficzne układają się nad głową w pa-smo linii nutowych i grają, grają jednostaj-ną, upartą melodię. To nie tylko melodia. Na tle śpiewnego szumu wykwitają słowa — strzępy zdań — zdania całe. Andrzej stara się połączyć je i zrozumieć. Czas jakiś wależy z podstępna dywersją wrażeń wzrokowych, rozbijających pochwycony już niemal nurt treści. Udać się wreszcie. Oczy ślepną, stopy idą same. Już nie ma nic więcej, jak tylko ta dziwna mowa południowego wiatru.

— Już nie wiesz teraz, czy żyjesz napraw-dę — czy tylko — „dramat układasz”. Wiesz przecież, że wszystko jest inaczej. Od począt-ku do końca. Zmyślasz nikczemnie i podle. W strusiej trwodze przed samym sobą kon-struujesz fakty, których nie ma. Myślisz my-śli, które nie są twoimi myślami. To tak, jak-byś głęboką, czarną rzekę osnuł gęstą mgłą, aby była mniej głęboka i mniej czarna: a ona choć zakryta, zawsze ta sama. Wyjeżdżasz, to prawda; ale przyczepka „dla sprawy” — to fałsz. Gdyby nie historia z Ireną — sie-działbyś tu dalej. Czepiasz się ojca: dlaczego? Aby stworzyć korzystne dla siebie same-go, wybielające cię przeciwstawienie. Co za głupstwo robić demona z pocziwego, ogra-niczonego staruszka! Ileż kłamstw w ciągu tej jednej jedynej godziny marszu! Zabawiałeś się w „poskramianie perspektywy” — a my-ślałeś wciąż o Irenie! Wciąż o Irenie! Wpatry-wałeś się w brzydkie wargi ojcowe, aby za-pomnieć o tamtych, o jej wargach. A potem — od tego odpczynku pod „Grunwaldem” — lo tęsknoty zmysłów przylepiło się marne, pobudzone przez propozycję ojca pragnienie, aby jak najprędzej dopaść tego bufetu dwor-cowego i oszołomić się alkoholem. I to nie za swoje pieniądze, tak, to ważne: pod sztuczną mgłą skryła się i ta właśnie płaska radość — że nie, za swoje pieniądze. Udajesz młodego Katona, a jesteś materiałem na pieczeniara.

IAN SMUTEK

Niełola

Gdzie nie potrafi się dowlec
Mech ścielący się srebrnie,
Tam jednak jałowiec manowcem przebrnie.

Korzeniem do głębi dotrze,
Gdzie nurl życia niedościgły,
I jagody najśłodsze powbija w igły.

Posiądzie bezładną przestrzeń
I całą siłą ujawni,
Gdzie nikt nie był jeszcze od jak najdawniej.

Obraz dnia

Nadjeżdżają wozy ze świtem
I turkolem słońce wylacza
Koło na wysłaną błękitem
Drogę niebieskiego oracza.

Wiatr wyjeżdża końmi na pole
I z płuc dmucha rannym oparem.
Ciągną konie z plugiem na rolę
Rozorywać skiby chmur szare.

Suną wrony skrzydłem orzące
I gdzie obszar w pianach mgieł tonie,
Wśród ujadów z rykiem ku łące
Dążą stada krów po wygonie.

Wież z wiadrami wyszła z zapłoci.
Żuraw z wody dźwiga swą szyć.
Świł na oknach ogniem się złoci
I dymami w górę się wije.

Dzień się znaczy drogą do nieba.
Teraz tylko ciągnąć go trzeba.

Czy nie lepiej przyznać się przed samym sobą do prawdy? A prawda jest taka: nie masz charakteru. Jesteś niedorośliwym smarkaczem. Wrócisz do Ireny na jej pierwsze skinienie. I — jak dotychczas — będziesz także zezwał do ojcowej kieszeni. Tak, tak! Uśmiechasz się teraz do niego i cieszysz się, że odwzajemnia uśmiech radosnym błyskiem wilgotnych, zajętych oczu. Był tylko nie zapomniał o przekąskach do wódki! Hejże-ha! Jakież to wesołe! Jeśli już jest tak, jak jest — niech będzie zupełnie, do dna! — Andrzej! — znów nowe kłamstwo, nowa przesada! O, jak interesująco narastają wciąż nowe fazy gry, tworzonej i przeznaczonej dla samego siebie! Autorytet, reżyserie, histerie i widzi! O mały włos nie uwierzyłeś przed chwilą w swój upadek moralny i w sam czas twoja pokraczna pycha zaprotestowała przeciwko tak ujemnej prawdziwości. Bo w istocie jest jeszcze inaczej: idziesz pod rękę z ojcem na kolej. Za godzinę poniesie cię pociąg do miasta, w którym rozpocznie się nowy akt komedii. Nie zapomnisz zapewne w scenariuszu o Bogu i Ojczyźnie. A tymczasem z całą pasją delektujesz się przejściową, lecz interesującą kreacją: człowieka, pełnego wiedzy o wyższych wartościach, idącego na wódkę; filozofa, szukającego po omacku wąskiej kładki, przetrzuconej między kłamstwem, a prawdą; Gustawa, którego ból życia przepoczwarzyłby niewątpliwie w Konrada, gdyby nie „piekielna maszyna” współczesnego świata. Upajasz się więc sztucznie spreparowanym narkotykiem fatalizmu, którym tak łatwo usprawiedliwić każdą marnością przeżywaną i tak łatwo uniewinnić się za wielkość niedosza. Uniewinniles również i ojca, strojąc własny, płaski oportunistyczny w zalety mądrości pobłażliwej i wyrozumiałej. Dobrze ci teraz na duszy, prawda? Teraz nawet ujemne akcenty dnia: ubóstwo portfela, zakurzone buty, strzępiaste mankiety spodni, lizajawata panorama miasteczka, brzydota ojcowego profilu — nabierają pożądanego, melancholijnie uśmiechniętego wyrazu...

Andrzeju — Andrzej. Niebezpieczne są igraszki z perspektywą. Zagubiłeś się w plątaninie spraw o różnych wymiarach i nie umiesz przywrócić im właściwych proporcji. Treść twoich myśli jest jak olchowski kociół zamknięty w ramę dwóch rozstawionych palców. Wydarzenia dziejowe mierzysz rozchyleniem dziejących warg, powiesiłeś Boga na ojcowym nosie, a ojczyznę oglądasz przez szkiełko kieliszka. Nie dziw się, że wśród takiej zabawy zatraciłeś poczucie własnej miary i własnego stosunku do rzeczy i dlatego jednym tchem, jednakowym napięciem wewnętrznych emocji wołasz: Boże! jak w ciebie uwierzyć? Ojczyzno! jak ci służyć? Ojciec! jak cię zrozumieć? Ireno! jak znaleźć drogę powrotną do uścisku twoich ramion?

Na zakręcie szosy ukazał się mały powozik i Andrzej, rozpoznawszy z daleka parę zwawych koników z tartaku i spasioną figurę Bortmanna. Wszystko rozebrało się bardzo szybko. Gdy bryczka zbliżała się na odległość połowy rzutu, pan Kajetan trwożnym, skośnym spojrzeniem objął twarz syna, podczas gdy jego prawa ręka już sięgała po kapelusze. Bortmann odwzajemnił ukłon i w momencie wymijania się skinął dwukrotnie głową z życzliwym, pańskim uśmiechem. Andrzej nigdy już potem nie przypomniał sobie, czy zdjął czapkę przed, czy po tym skinięciu Bortmanna. Stał nad rowem jak osłupiały, wśród opadającej na ziemię fali pyłu, bez kropli krwi w twarzy. W kącikach ust dogasał nikczemny, bezwiedny uśmiech, jakim odpowiedział na uśmiech kupca. Tępy wzrokiem wpatrywał się w trzymaną w rękę czapkę, podczas gdy głowę rozsadzała myśl: „Ukloniłem się — ja ukloniłem się temu Niemcowi...”

Pan Kajetan spoglądał na niego z głupawą miną, nie rozumiejąc przyczyny zatrzymania się.

— No, wóźce czapkę i chodźmy, padziarszku, bo nam bufetowa na obiad ucieknie i lokal, panietego, zamknie.

Zbliżył się do syna, aby go znowu ująć pod ramię, lecz nagle dojrzał w jego oczach niezdobry, wściekły błysk i skamieniał. Wtem twarz syna znalazła się tak blisko jego twarzy, że poczuł na policzku gorący, urywany oddech — i zaraz potem usłyszał chrapliwy szept:

— Wracaj do domu. Dokąd ja... nie wiem. Nie jadę nigdzie. Ty i ja — jesteśmy dwie podłe... podłe...

Ostatnie słowo szeptał w świszczącej jak biczą furmański głosce. Z tym dźwiękiem na ustach odwrócił się Andrzej od ojca, przeskoczył rów i poszedł szybkim krokiem, środkiem bagnistego, gminnego pastwiska, w stronę siniejącego w oddali woliczkiego lasu. Raz jeden przystanął, gwałtownym ruchem cisnął wciąż jeszcze trzymaną w dłoń furazerkę i wdeptał ją w mokry grunt kilkoma uderzeniami obcasa.

Pan Kajetan stał długo, drząc jak w febrze, z obliczem pustym jak wyciekłe naczynie. Nagle poruszył ramionami, jakby chciał strząsnąć z nich niewidzialny ciężar, zmarszczył w zabawnym skupieniu wyleniałe, rzyje brwi i zamrugał parokrotnie torbiastymi powiekami. Od rzęs odwrócił się dwie grube krople i toczyły się wolno wzdłuż brzydkiego, podobnego do kranu nosa.

Wilhelm Mach

ZOFIA MARYNOWICZ

Ziemia naszej przyszłości

KRAJ

Dwie są niezaprzeczalne, absolutne zalety Dolnego Śląska: piękno i bogactwo. Trzeba, by tę ziemię poznała nie tylko garstka mogących się „na własne oczy” z nią zetknąć szczerliwców; jednym z głównych warunków szybkiej jej repolonizacji jest, by przyswoiła ją sobie emocjonalnie, przywiązała się do niej i pokochała — cała Polska. Zadane opisy, choćby najbardziej sugestywne, nie mogą oddać ogromu tego piękna. Jedynym rozwiązaniem byłoby wysłanie na Dolny Śląsk zespołu filmowego. Niech nasi filmowcy jadą i przywieżą nam chociaż drobne okrucy nieprzebranego skarbu, które, utrwalone na płótnie ekranu, zblizną na pewno serca „tych z kraju” do ciągle jeszcze nieznannej, egzotycznej krainy „Dzikiego Zachodu”. Czy będą to obrazy z przemitych miasteczek: Kłodzka, Świdnicy, Nowej Rudy, czy najważniejszego centrum przemysłowego Wałbrzyska, najniebezpieczniej wyrastającego w pięknej górskiej okolicy (wyobraźmy sobie Katowice przeniesione do Zakopanego), okolonego słynąciami ze swych uroków uzdrowiskami, czy wreszcie z zachwycających okolic Gór Olbrzymich — spełnią one swe zadanie może lepiej, niż najbardziej wymowne opisy.

Równie trudno wyrazić jest bogactwo Dolnego Śląska. Mimo wojny, mimo jej skutków, tyle jeszcze ocalało, że naprawdę nie ma przesady w określeniu tej ziemi mianem „perły” Polski. Są tu zarówno ogromne bogactwa kopalniane, jak silnie rozwinięty i wysoko postawiony przemysł. Ten właśnie przemysł przedstawia dla nas ogromne możliwości. W tym względnie bezpiecznym zakątku nie tylko nie uległ zniszczeniu wojennemu, ale właśnie podczas wojny rozbudował się jeszcze. Tutaj przenieśli Niemcy wiele ważnych obiektów przemysłowych z terenów zagrożonych, rozbudowali przemysł lokalny, przystosowując go do potrzeb wojny (tutaj mieli wyrzutnie groźnej ongiś broni, sławnego VI).

By mieć choć przybliżone o tym pojęcie, dopuścimy do głosu kilka cyfr. Dolny Śląsk posiada około 4 tysięcy zakładów przemysłowych dużych i małych, około 7 tysięcy zakładów rzemieślniczych i rękodzielniczych. Pierwsza pozycja obejmuje liczne kopalnie i fabryki, zatrudniające często po kilka tysięcy robotników — druga wysoce zmechanizowane, doskonale urządzone warsztaty. Sam okręg wałbrzyski posiada około 500 zakładów przemysłowych. Najważniejszą pozycję stanowi kilkanaście kopalń węgla. Obok węgla zwyciężającego dobyte się tu najbardziej wartościowy w Europie węgiel wysoko koksujący. Produkcja jego wynosi około 2 milionów ton rocznie. Na terenie Wałbrzyska pracują cztery koksownie. Najważniejszą obok samego koksu rzeczą jest powstawanie przy jego produkcji gazu. Obecnie wyraża się on cyfrą 500 milionów m³ rocznie. Zaledwie część z tych olbrzymich mas, bo 150 milionów m³ podołamy teraz zużyć, rozprowadzając je po całym niemal Śląsku. Reszta, 350 milionów m³, uchodzi z wiatrem — wypuszcza się ją w powietrze nie mając dla niej zastosowania. Niemcy mieli w związku z tym gigantyczne plany. Zaczęli nawet budować rurociągi mający przeprowadzać gaz z koksowni wałbrzyskich do Berlina i dalej, do Zagłębia Ruhry.

Przy koksowniach są fabryki benzolu, metanu, kwasu siarkowego, istnieją wreszcie duże możliwości dla przemysłu chemicznego, zwłaszcza farmaceutycznego.

Drugą nieużyta a potężną siłą są masy energii elektrycznej. I tu są plany przesyłania jej do Poznańskiego, a nawet do Czechosłowacji; są możliwości przeprowadzenia jej do Pragi czeskiej.

O potęgę przemysłu dolnośląskiego niech świadczą kilka faktów:

Mamy świetny przemysł chemiczny, do nas należy największa obecnie na całym terenie b. Niemiec, włączona do concernu I. G. Farben-Industrie, fabryka chemiczna w Sarau. Fabryka ta, mogąca zatrudnić 5 tysięcy robotników, posiada surowce; jej niektóre oddziały są gotowe do uruchomienia. Przemysł tekstylny na Dolnym Śląsku dorównywał całej dotychczasowej produkcji Polski w zakresie przeróbki wełny, a jeśli chodzi o przeróbkę lnu dwukrotnie ją przewyższa; znajduje się tam wiele fabryk ceramicznych, niektóre z nich produkujące wyłącznie na eksport, należały do concernu Rosenthal. Są papiernie, produkują swą mocą przewyższając trzykrotnie pozostałą produkcję Polski; są fabryki mebli, z których jedna potrafi pokryć całe zapotrzebowanie Polski w zakresie giętych mebli; jest 37 cukrowni, wśród nich druga co do wielkości w Niemczech fabryka cukru w Weizenrodau; są fabryki szkła optycznych, aparatów precyzyjnych, szkła giętych, znane w Europie i poza nią szlifiernie kryształów; kopalnie i przetwórnice gliny szamotowej, z nadwyżką pokrywającą zapotrzebowanie kraju i wiele wspianych, często na światową skalę urządzonych obiektów w najróżnorodniejszych gałęziach przemysłu.

Wraz z objęciem Dolnego Śląska nasza sytuacja ekonomiczna uległa gruntownej zmia-

nie. Teraz nie tylko osiągniemy samowystarczalność: dziś już możemy przystąpić do eksportu na wielką skalę. Jeśli stać nas będzie na mądra, rozważną a co najważniejszą uczciwą gospodarke na Dolnym Śląsku, korzyści takich na państwu przysporzyć może, są naprawdę nieobliczalne. Wraz z tą ziemią dała nam historia do rąk szansę, która, jeśli potrafimy ją wykorzystać, stanowić może punkt zwrotny w naszym życiu społeczno-gospodarczym. Te ogromne bogactwa i możliwości dają gwarancję, że przy umiejętnej gospodarce nie stoi na przeszkodzie, byśmy w niedługim czasie poziom naszego życia podciągnąć mogli i zrównać z poziomem innych narodów Zachodu.

LUDZIE

To, że społeczeństwo nasze ogarnął ogólny, przemożny pęd na Zachód, byłoby niewątpliwie zjawiskiem wielce pożądanym, gdyby u podłoża jego nie leżało tak wiele i tak różnych przyczyn. Bądźmy szczerzy: mała jest garstka ludzi, godnych szacunku miana pionierów, mało jest takich, dla których zabezpieczenie fabryki znaczyłoby więcej niż zabezpieczenie sobie mieszkania, garderoby i spiżarni. Mało jest ludzi, dla których ulokowanie i „urządzenie” nowoprzybyłych byłoby kwestią równie ważną i poważną, jak zdobycie dla siebie aparatu radiowego, czy jeszcze jednego perskiego dywanu. Mimo wszystko spotkaliśmy ludzi, którzy pozwalają z wiarą i ufnością patrzeć w przyszłość. Żal tylko, że choć sobie ręce po łokcie urabiają, tak mało mają naśladowców. Gdyby namiętna rywalizacja o lepsze posady, posiadki, wpływy jakimś cudem przetworzyć się mogła w równie, żywotną rywalizację pracy, moglibyśmy być spokojni o los ziem przyłączonych. Miejmy nadzieję, że życie samo przeważa szalę na stronę właściwą.

Istną natomiast plagą Dolnego Śląska są nieprzeliczone tłumy tzw. „elementu płynnego”. Płynie to z miasta do miasta, bez określonego celu, częściej z celem niezbyt chwalebny, opętane duchem szabru, nie tyle nawet szkodliwe, co uciążliwe — prawdziwa udręka dla tych, którzy chcieliby utrzymać ład na powierzonych im terenach. Płynny, przelewający się i rozlatający w palcach element, na który trudno znaleźć radę. Bo cóż dla takiego znaczy, że w szeregu miast np. nie pracujący ma prawo do trzydniowego tylko utrzymania i pomieszczenia, kiedy miast tych jest tak wiele i można „podróżować” do woli. Oni to, „włóczęgi Zachodu”, czyhający na niezbyt czyste a wielkie nieraz zarobki, te panusie, które już wszędzie były i nic im się nie podoba, są kulą u nogi prawdziwym pionierom Zachodu; oni to stwarzają nieporządek, tłok w pociągach, całą tę niezdrową atmosferę — i oni to, twórcy tego wszystkiego, osmielają się wydeawać i rozpowszechniać krzywdzące a wielce nieprzychylnie sądy o Dolnym Śląsku. Pasy należałyby drzeć z panusi, co rozwścieczona do ostatecznych granic niepowodzeniem swych planów (diabli ją wiedzą co to były za „plany”) ciska w pociągu gromy oburzenia na „przeklęty dziki Zachód” i odgraża się, że „dziesiątego” ostrzeże, żeby się tu nie wybierał. Ludzie tacy, to prawdziwi szkodnicy sprawy i należałoby ich ścigać bez litości. A wszystko to z białoczerwonymi odznakami głośno manifestuje swoją „polskość”. Niejeden raz palił mi twarz rumieniec wstydu, gdy obserwowałam popisy naszych „kolonizatorów”. Czy można się dziwić więc, że Niemcy, nie czując naszej przewagi, nie tylko nie chcą widzieć w nas panów tej ziemi, lecz nawet nie wahają się okazywać nam często lekceważenia.

Odpowiedni ludzie na ziemiach przyłączonych to zagadnienie pierwszej wagi. Od nich bowiem zależy, w jakim stopniu i w jakim czasie ziemię tę przyszłojęone zostaną całkowicie. Odpowiedni i odpowiedzialni ludzie pokazą światu, że dorobiliśmy do wielkich zadań dziejowych, że poważnie i przykre zarzuty stawiane nam, są niesprawiedliwe i niesłuszne. Dlatego dobór ludzi winien być jak najstarszy. Nie takie czy inne z a s t u g i w o j e n n e czy partyjne, choć bezsprzeczne i godne szacunku, ale rzeczywiste kwalifikacje i zdolności powinny rozstrzygać przy obsadzaniu odpowiedzialnych stanowisk. Zle się też dzieje, kiedy ustosunkowany „dygnitarz” przywołuje sobie do pomocy kuzyna, ten szwagra i kuzynkę, tamten znowu swych powinowatych i przyjaciół — powstaje wtedy towarzystwo wzajemnej adoracji, które dba już o to, by nikt z niepowołanych nie zgłębił tajemnic „współpracy”. Brak właściwych ludzi jest tym, bardziej uderzającym, jeśli się zetknąć z prawdziwymi pionierami. Wtedy dopiero widzi się, ile może zrobić człowiek dobrej woli i czystych rąk na odpowiednim stanowisku. Gdybyż tylko było ich więcej! Wszyscy walczą z tymi samymi trudnościami, lecz nie wszyscy potrafią je jednak pokonać. I tu leży sedno całej sprawy. Zdecydowana postawa, szybka decyzja wymagane są od tych ludzi bezwzględnie. Dlatego otrzymali oni tak szerokie pełnomocnictwa i kompetencje, by nie czekając na okólniki ni instrukcje, kiedy zajdzie tego potrzeba, sami na miejscu roz-

strzygali następczące się trudności. Nie ma miejsca dla ludzi, którzy pracę swą pojmują jako odsiedzenie kilku nudnych godzin a z ulgą witają zbawczą godzinę urzędowego końca pracy. Nie ma ściśle określonego czasu pracy ani ściśle określonego jej zakresu. Potrzeba reguluje czas pracy pioniera.

Z miast, które zwiedziliśmy, do najpiękniejszych chyba rezultatów doszło Kłodzko, urocze stare miasteczko na pograniczu polsko-czeskim. „Dobra ręka” przebiega tu na każdym kroku. Już na dworcu kolejowym witają przybysza tablice, informujące dokąd ma się udać w sprawie pomieszczenia i wyżywienia, przy czym znajdzie on opiekę o każdej porze dnia i nocy i nie jest narażony, jak gdzie indziej, by choć przez chwilę był i czuł się „niepotrzebnym człowiekiem”. Miasto, mimo olbrzymiej dysproporcji ilościowo żywołu polskiego i niemieckiego — około 2 tysięcy Polaków na blisko 30 tysięcy Niemców — zdołało już przybrać oblicze polskie. Wszędzie polskie nazwy ulic, napisy, szyldy. Pierwsze wrażenie jak najlepsze. Prawdziwość jego potwierdza się przy zeknięciu się z Polakami, sprawującymi tu władzę. Przepadkowo byłam świadkiem „urzędowania” zastępcy starosty w tym wzorowym mieście. Słyszałam jak zwymyślał kierownika jakiejś placówki za to, że po miesiącu pracy nie umiał się wykazać konkretnymi wynikami. Nie mógł mu darować „skradzionego” miesiąca czasu. Nie dyplom, nie papierowe kwalifikacje, ale wartość pracy jest dla niego najpoważniejszą referencją pracownika. Kłodzko zresztą ma szczęście. Jego wszyscy ludzie czciliwi nie tylko mają dobre cechy, ale i dobrze w głowie. Do nich należałoby odesłać malkontentów i niedołęgów, którzy swą nieudolność usiłują pokryć spychaniem winy na wszystko i wszystkich naokoło. Już dziś porządek i umiejętna organizacja widoczna na każdym kroku; aprowizacja miasta bardzo dobra i zapewniona na zimę; stosunki graniczne z Czechami jak najlepsze; wewnętrzne z władzami sowieckimi również. Można być spokojnym o to, że ludzie ci doborzą sobie i wyszkolą aparat pomocniczy, bo dobrze zorganizowana praca wciąga nawet opornych. Kłodzko opuściłam w przekonaniu, że wdziałam najlepiej zorganizowane miasto Dolnego Śląska. Później dopiero dowiedziałam się, że tę opinię wyrażają władze wojewódzkie w Lignicy.

Dalszym dowodem, ile dokonać może nawet nieliczna garstka ludzi oddanych sprawie, jest Świdnica. Sprawną administracją, idealnie współpracującą z komendanturą sowiecką, umiejętnie opanowanie żywołu niemieckiego. Pierwsze z widzianych miast, w którym zniszczone już wszystkie pomniki niemieckie. Doskonale zorganizowane, mające dobre perspektywy na przyszłość. Uderzająca jest współpraca i zgodność wysiłków. Tu nie pyta się o „godziny przyjęć”, ani o to, czy „to do mnie należy”. Widziałam, jak kierowniczka Wydziału Kultury i Sztuki, dzielna warszawianka ciężko dotknięta losem a niemniej pełna zapału, popularna w całym mieście „madame Kultura”, nie pytała, czy wchodzi to w zakres jej „kulturalnej” działalności, kiedy trzeba było zająć się osadnikami, powracającymi z Niemiec do kraju, czy też przygotowaniem szkoły do nowego roku. Wszystkie zasoby umiejętności i zdolności postawić w służbę spraw!

Obraz byłby niecisły, gdyby nie wspomnieć, jak być nie powinno. Klasycznym tego przykładem, choć w swej anormalności odosobnionym, jest miasteczko Rychbach. Po trzech miesiącach urzędowania władz polskich niewiele się tu zmieniło. Flagi polskie dziwnie obco odbijają we wrogim, niemieckim mieście. Ani jednej polskiej nazwy ulicy. Już po pobieżnym oglądnięciu miasta czuje się, że coś tu nie jest w porządku. Odwiedzenie kilku urzędów przechodzi najgorsze spodziewanie. Do kogo właściwie władza w tym mieście należy? Burmistrz niemiecki urzęduje na równi z burmistrzem polskim. Starostwo zatrudnia wprawdzie oficjalnie tylko jednego Niemca, ale przypadkowo trafiamy na drugie piętro i znowu nie wierzymy własnym oczom. Szereg pokoi opatrzonych niemieckimi tabliczkami, dwudziestu kilku urzędników-referentów Niemców. Taki sobie „szczęstek” niemieckiego „Landamtu”, niezbędnie do życia potrzebny polskiemu starostwu. Jak żyją wszystkie starostwa Dolnego Śląska, które nie utrzymują takich „szczętków” składających się ze sztabu hitlerowskich urzędników?

„Arbeitsamt”, bo tak się nazywa i jest nim w istocie, zatrudnia, poza kierownikiem Polakiem, wyłącznie Niemców; i to kilku dziesięciu. Dla powracających natomiast z głębi Niemiec czy przyjeżdżających ze wschodu Polaków nie ma pracy. Zastępca starosty zapytany w tej sprawie wyjaśnia, że Niemcy są niezbędni rzekomo z powodu braku odpowiednich sił polskich. Równocześnie gorąco protestuje przeciw przysyłaniu mu tu osadników, „bo z tego tylko bałagan i w ogóle nie wiadomo co z nimi robić”. Na domiar okazuje się, że przeważająca większość urzędników to członkowie SS, SA, HJ i NSDAP.

W samym mieście Rychbachu przebywa tych zasłużonych obywateli III Rzeszy około 600, pracuje w różnych urzędach państwowych i miejskich 243. Są to rzeczy stwierdzone na podstawie niemieckich list urzędowych (miałam je w ręku), nie ulegają więc wątpliwości. I mimo, że listy te otrzymały najwyższe władze w mieście, nie dotychczas w tej sprawie nie zrobiono.

Czy można wobec tego Niemcom robić zarzuty za to, że pracownik magistratu w sierpniu, po konferencji poczdamskiej, nie wie jakoby tereny te należały do Polski. Nasze oburzenie chce ułagodzić tłumacząc się: „Wir haben doch kein Radio, keine Zeitungen“. W tym mieście nikt nie pokusił się o to, by te sprawy Niemcom udowodnić.

Na szczęście nie spotkaliśmy drugiego takiego miasta. Chociaż w każdym prawie mieście spotyka się niedociągnięcia i to dość poważne, natury najczęściej organizacyjnej, miejmy nadzieję, że prędzej czy później te bolączki okresu przejściowego dadzą się usunąć. Nie załamujemy tylko rąk, pamiętając równocześnie, że nie można ich także zakładać w biernym oczekiwaniu, aż się to samo ułoży. Teraz, po przewycięzeniu pierwszych, największych trudności, po zdobyciu zasobu doświadczenia, łatwiej i szybciej powinno pójść usprawnienie organizacji. Pożądane by było zresztą przeprowadzenie tego usprawnienia od samej góry, żeby nie miały więcej miejsca tak częste obecnie wypadki wzajemnego wkraczania w kompetencje różnych urzędów. Dopóki np. zakres działania Ministerstwa Skarbu i Ministerstwa Przemysłu nie zostanie rozgranicyzony ostatecznie, dopóty do tysiąca kłopotów pełnomocników dochodzić będzie i ten, niemało poważny zresztą, że otrzymywać będą z góry nominatów z różnych stron na to samo stanowisko i będą musieli łamać sobie głowy, jak dyplomatycznie wybrnąć z trudnej sytuacji.

Jeszcze jest jedna rzecz zastanawiająca, trudna do zrozumienia. Niewątpliwie czynnikiem wpływającym na ożywienie życia jest wolny handel. Dlaczego, skoro dopuszczony on został oficjalnie w całym kraju i to w rozmiarach o wiele przekraczających faktyczne potrzeby, stał się niemal śmiertelnym grzechem na Zachodzie. Dlaczego sprawa ta, niewątpliwie bardzo poważna, uzależniona jest wyłącznie od widzimisię władz lokalnych? Na jakiej podstawie oficjalny w jednym mieście śląskim, tępony jest w drugim? Nie wnikając w samą istotę zagadnienia wolnego handlu, należy przypomnieć, że nawet w ZSRR okazał się on w pewnym okresie koniecznością życiową i wniósł do życia wiele momentów pozytywnych. Zresztą prawdę tę potwierdza i Dolny Śląsk. Wrocław, najwięcej zrównowane na tej ziemi miasto, jest równocześnie najbardziej żywotnym ośrodkiem. Ruchliwość, zaobserwowana na przestrzeni trzech tygodni, jest doprawdy imponująca. W Świdnicy w przeciągu czterech dni mojego tam pobytu powstały dwie restauracje i kawiarnia. Szereg sklepów, objętych przez Polaków, zaczęło pracę w najbliższych dniach. Przyjezdny nie musi tu wydeptywać wysokich progów, by mógł zjeść mierny nieraz obiad; za 30 złotych może dostatecznie zaspokoić głód w restauracji, a czas użyć na załatwienie spraw ważniejszych niż kartka do stołówki.

Może w niektórych miastach, jak np. w Wałbrzychu, gdzie sprawa aprowizacji jest trudna, takie ograniczenia mają swoje uzasadnienie, ale czy nie wystarczyłoby rozciągnąć je tylko na artykuły spożywcze? I rzecz charakterystyczna. Im miasto gorzej zorganizowane, tym sroższe pod tym względem rozporządzenia. Jakby różni ludzie tą nadmierną „gorliwością“ chcieli pokryć inne braki. Na groteskę zakrawa rozporządzenie burmistrza w Rychbachu, smutnej sławy mieście: „... polecam stosowanie cen, jakie obowiązywały w Trzeciej Rzeszy, aż do odwołania. Niewykonanie powyższego zarządzenia będzie karane...“ itd. „Bo podobno pojawiły się lichwiarskie ceny na rynku. Skutek jest taki, że w mieście tym, oprócz obrzydliwego piwa za 15 gr., nie znajdzie się nic do zjedzenia, choćby na ulicy miało się paść z głodu. A jaka przy całej surowości zarządzeń opieka nad przyjezdnymi, o tym lepiej nie wspominać.“

Obawa władz śląskich przed paskarstwem jest zrozumiała, ale ulegając jej zbyt, wpadają one w inną skrajność. Sprawa ta, tak ważna, powinna zostać ustalona przez władze centralne jednolicie dla całego Śląska. Unormowanie stosunków w dziedzinie handlu na Śląsku na pewno wyjdzie mu na zdrowie.

ONI I MY

Ogromnie ważnym zagadnieniem jest ciągle jeszcze nie rozwiązana i nie dająca się na poczekaniu rozwiązać kwestia niemiecka. Ona to utrudnia w głównej mierze kolonizację ziem przyłączonych. I choć z różnych względów nie możemy stosować metod, których doświadczyliśmy na własnej skórze, a których skuteczność nie ulega wątpliwości, winno być troską naszych władz najwyższych, by w jak najkrótszym czasie do rozwiązania tej kwestii przystąpić. Tym bardziej, że jest ona bardziej niżby się wydawało skomplikowana i nie da się od razu przeprowadzić. Wymaga też ona niezwykle dużo rozważań i zrównoważenia. Zbytnią pochopność może być w tym wypa-

dku co najmniej tak szkodliwa, jak zbytńia pobłażliwość. Musi się tu, odrzucając względy uczuciowe, wziąć pod uwagę względy praktyczne. Wysiedlając Niemców trzeba się pozbywać jak najenergiczniej elementu zbełnego i dającego się zastąpić własnymi siłami, natomiast niewybaczalnym błędem byłoby wypuszczenie choćby jednego fachowca, nie mając na jego miejsce równie wysoko kwalifikowanej siły polskiej. Są fabryki na Śląsku, gdzie dłuższego czasu będzie wymagało wyszkolenie odpowiednich fachowców-Polaków. I nie łudźmy się, że uzyskanie ich będzie rzeczą łatwą. Przemysł dolnośląski zatrudnia pół miliona wysoko kwalifikowanych robotników. W chwili obecnej można mówić jedynie o robotnikach niemieckich. Zastąpienie ich równie wartościowymi siłami własnymi nie da się tak szybko przeprowadzić. Dlatego też nonsensem są powiędzenia w rodzaju: „wypędzić ich wszystkich, damy sobie sami radę“, bo nie tylko nie damy sami rady dziś, ale stracimy fachowców-instruktorów, nie będziemy mogli mieć nadziei na danie jej sobie i w dalszej przyszłości. Przyznać należy, że na ogół jest zrozumienie dla tej sprawy u naszych władz, natomiast nie ma go w społeczeństwie. Nieraz zdarza się, że rozumnie sprawę traktujący starosta ściga na siebie odium (protektor zszwabów!) ludzi nie umiających zrozumieć słuszności jego postępowania. Sprawa ta nie została należycie postawiona przez władze wyższe; często pełnomocnik stara się na własną rękę zapewnić swoim fachowcom jakie takie warunki egzystencji; przeważnie jednak możliwości te są znikome i zdarza się, że wysoko kwalifikowany i niezastąpiony robotnik nie otrzymuje nawet chleba. Nie można się więc dziwić, że zdarzają się, niestety, coraz częściej, wypadki „wykupienia“ takiego człowieka, nieraz olśniewającymi warunkami, przez kogoś innego. Dziwić się należy nie Niemcowi, który wybiera, rzecz jasna, warunki lepsze, ale nam, że do tego dopuszczamy. Sprawę tę można by uregulować, wydając dla Niemców ustawę zabraniającą zmiany miejsca pracy. Znamy ją przecież aż nadto dobrze.

Wysiedlenie wymaga też mądrej i rozważnej organizacji. Nie wolno dopuścić do powtórzenia błędów gorączki pierwszego okresu. Jeśli mamy pozbyć się Niemców, to zrobimy to gruntownie. I jeśli jakąś, choć niewspółmierną rekompensatą ma być dla nas to co pozostawia — niech ani zdżbto z tego nie pójdzie na marne. Póki jednak kwestia wysiedlenia nie stanie się aktualna, warto by poddać rewizji obecne stanowisko żywiołu niemieckiego na ziemiach przyłączonych. Przytoczeni w pierwszej chwili ogromem klęski, czując swą winę panicznie obawiający się odpłaty, obrzydliwi w swej uniżoności i braku godności, Niemcy pomału podnieśli głowę. I to nawet dosyć wysoko. Na swój sposób tłumacząc sobie słowa Stalina, że „Hitlerzy przychodzą i odchodzą, a naród i państwo niemieckie zostają“. Oni dziś umyli skrwawione ręce i uważają, że wszystko jest w porządku. Hitler stał się dla nich nagle tym samym potworem, jakim był dla nas przez tyle lat. Opowiadał o czynach ich braci, mężów, synów na polach Majdanka, Oświęcimia słuchając z obłudnym zgorzaniem, niby to przejęci grozą, w duszy kpiąc sobie z tej naszej „Greuelpropaganda“. Jedna z Niemek powiedziała mi zresztą: „Tyle was wymordowano, Rosjanie też o sobie to opowiadają, a przecież tyle was jeszcze jest“. Co za ogrom bezczelności! Podaje w wątpliwość fakt mordów niemieckich, bo przecież sama widzi kilka tysięcy przybyłych do jej miasta Polaków. Inna znowu, przerażona perspektywą wysiedlenia, twierdzi, że dość się już nacierpieli w czasie tej wojny i dostatecznie okupili swoje winy (mieszkanca miasta nietkniętego wojną!). Nasze zapewnienia, że przecież będą musieli Śląsk opuścić, zbywa westchnieniem: „Es wird doch nicht so schlimm sein“. Jeden tylko ze spotkanych Niemców, 70-letni staruszek, uczciwie stwierdził: „Wszystko, cokolwiek nas spotka, będzie tylko zasłużoną karą od Boga“.

Najbardziej razi na Dolnym Śląsku w stosunkach polsko-niemieckich brak jakiegokolwiek wyrażniejszego rozgraniczenia między nami i nimi. Nic albo prawie nic nie odróżnia zwycięzców od zwyciężonych. Za lata straszliwej pogardy i poniewierania, człowiekiem i wszystkim co mu najdroższe — odpłacamy im podaniem ręki; za męki milionów za drutami obozów — dobrymi posadami; za śmierć głodową tysięcy — białym chlebem. Jest coś wstrząsającego w słowiańskim braku pamięci potwornych a tak niedawnych krzywd. I to nie tylko u Polaków; w większym jeszcze o wiele stopniu u Rosjan. A podli Niemcy tę niezdolność do nienawiści biorą za słabość, bo ludzie z ich psychiką inaczej tego zrozumieć nie mogą. I tak czują się coraz pewniejsi. Zwłaszcza wobec Polaków. Niezliczone były wypadki, kiedy Niemcy ignorowali władze polskie, nie uznawali polskich pism urzędowych, żądając ich potwierdzenia przez władze sowieckie. Widząc początkowo wrogi stosunek Polaków, szukali ucieczki przed nimi u wojska sowieckiego, zresztą wyszukując najmniejszy objaw niechęci, intrygami jątrząc stosunki polsko-sowieckie. Kiedy zawiodło wszystko w walce z nami wysunęli ostatni argument: wdzięki kobiece.

NASZ POWRÓT

I jeszcze jedna bardzo ważna kwestia: repolonizacja Dolnego Śląska. Nie idzie ona w tempie pożądanym. Utrudnia ją mała jeszcze w tej chwili ilość Polaków, brak polskiej prasy i książki. Nie wyzyskuje się jednak nawet tych możliwości, jakie są nam dane. A nie zapominajmy, że w tej akcji mamy w ręku atut, jakiego nigdy nie mieli Niemcy, germanizując rzekomo pranieckie ziemie słowiańskie. Nasza akcja ma sprzyjające warunki „naturalne“. My nie musimy się wysilać na stwarzanie sztucznych „teorii naukowych“ mających uzasadnić nasz powrót nad Odrę i Nysę. Polskość tej ziemi tłumiona przez tyle lat, jak szlachetny kruszec przez święca mimo wszystko poprzez grubą warstwę już nie nalotu, ale złośliwiej narodził germanizm. Od najstarszych dokumentów począwszy, poprzez orły śląskie na mostach kłodzkim i świdnickim, prawie z naszym godłem państwowym identyczne, poprzez wszystkich niemieckich Wilczków, Mordcinczyków i Szczepańskich — po tyle razy spotykane Bolkostrasse i Bolkoburgi — wszystko to krzyczy o krzywdzie i prawdzie słowiańskiej na tej ziemi. Niemcy, stwarzając sztucznie i podtrzymując separatyzm śląski, zachowali te atrybuty „śląskie“, które mówią właśnie aż nadto wyraźnie o ścisłym związku Śląska z Polską. Dziś, kiedy stał się on faktem historycznym, stoi przed nami wdzięczne i czyste zadanie usunięcia jak najszybciej wszelkich śladów niemieczyny. My nie potrzebujemy łamać głowy nad stworzeniem sztucznych, w swej sztuczności często komicznych dziwołagów. Nas czeka wdzięczna praca przywrócenia właśnie sztucznych łamańcom ich pierwotnego, historycznie uzasadnionego brzmienia.

Kwestia przywrócenia nazwom miejscowym polskiego brzmienia powinna być dziś traktowana jako jedna z najpilniejszych. Dziś, kiedy nie stać nas jeszcze na to, by zasilić Zachód odpowiednią ilością Polaków, kiedy długi jeszcze czas pokutować będą musiały u nas przeżytki niemieczyny, starajmy się, byśmy w jak najkrótszym czasie zdołali na-

dać mu przynajmniej zewnętrznie polski charakter. Zeby jednak znikły niemieckie nazwy z wszystkich tablic orientacyjnych, zszylców dworców kolejowych, musi się przede wszystkim ustalić brzmienie nazw miejscowych. Widziałam kilka map Dolnego Śląska. Każda z nich prawie oznacza miejscowości nie istniejące na innej. Ta sama miejscowość ma często dwie, czasem trzy różno-brzmiące nazwy. Tłumaczyć to należy tym, że w samych początkach ludzie, którzy tu przyszli, urabiali wedle własnego uznania, byle tylko pozbyć się niemieckich, nazwy polskie, często nie mające uzasadnienia, lub też żywcem tłumaczone z niemieckiego. Nie można robić z tego powodu zarzutu tym, którymi kierowała dobra wola, niemniej należałoby przyspieszyć akcję naukowego ustalenia nazw miejscowych ziem przyłączonych.

O wiele mniej skomplikowaną rzeczą jest nadanie polskich nazw ulicom, usunięcie odezów do wojska niemieckiego, afiszy i fotografii Hitlerjugend. Jeśli po trzech miesiącach władzy polskiej na Śląsku takie rzeczy się spotyka i to nie rzadko, dowodzi to nie tylko niedbalstwa, ale po prostu niechlujstwa w pracy odpowiednich władz.

Zeby jednak oddać sprawiedliwość, należy przyznać, że w ogromnej większości miasta i osiedla Śląska mają już polski charakter. Nie tylko placówki, sklepy polskie, ale i niemieckie oznaczone są wyłącznie po polsku. Byłyby humorystyczne, gdyby nie świadczyły o ignorowaniu nas przez Niemców napisy w rodzaju: kwiaczarnia; drogeria do złotego puhara; proszek mydlony; frysier tylko dla ruskiego Wojska. „Koroną“ jednak wszystkim jest przygoda jednego z kierowników urzędu informacji i propagandy, który w czasie inspekcji w jakimś urzędzie skonfiskował niemiecką pieczęć ze swastyką, która była w normalnym urzędowym użyciu w dwa miesiące po stworzeniu polskiego urzędu.

Troską tych, którzy udają się na Śląsk niech będzie, by — przed tylu wiekami odebrany od organizmu macierzystego — zrosł się znowu z Polską. Tym razem — na zawsze.

Zofia Marynowicz

Francuz o literaturze francuskiej

Oczywiście, był to jedynie zbieg okoliczności, lecz bardzo znamienity. Któregoś dnia wędrowałem wzdłuż wystaw antykwarek nad Sekwaną, gdy zaczął mnie znajomy, którego nie widziałem jeszcze od czasu mego powrotu z obczyzny. Po powitaniach i pobieżnym zapoznaniu się z wzajemnymi losami w okresie okupacji, przyjaciel mój zwrócił się do mnie:

— No dobrze, ale co pan sądzi o tym zastoju?

— O jakim zastoju?

— Ależ o zastoju intelektualnym naturalnie! O zastoju idei! O zastoju literatury! Przyrzekano nam przecież, że wyzwolenie będzie sygnałem dla żywiołowego wybuchu sztuki i myśli. Wszystkie siły twórcze, ciemiężone i uciskane od tak długi czasu miały się zerwać i nareszcie wziąć należyty im odwet... Wytęgam słuch. Gdyby gdziekolwiek nastąpiła podobna eksplozja, usłyszałbym ją na pewno, wyczułbym ją. Tymczasem wokół nas panuje śmiertelna cisza i wyznam panu, że zaczyna mnie to niepokoić. A co pan o tym myśli?

— Nie, nie jestem zaniepokojony — odpowiedziałem. — Jedyne zdruzony, tak jak nudzi się człowiek, odczuwający potrzebę rozrywki i odmiany.

Po czym rozstaliśmy się i każdy z nas udał się w swoją stronę. Poszedłem dalej i na tej samej ulicy spotkałem drugiego znajomego. Gdy wymieniliśmy wzajemne poglądy na kwestie aprowizacji i opału, rozmówca mój rzucił:

— Niech pan przyzna, nie tak znów olśniewająco przedstawia się ta nasza obecna literatura. Pan, który zawodowo śledzi jej kroki dzień po dniu, powinien coś o tym wiedzieć.

Rzeczywiście, nie mogłem mu zaprzeczyć, stwierdzając, że według mnie, literatura i myśl francuska przeżywały jeden z najpiękniejszych okresów swojej historii. Uśmiechnąłem się wymijająco, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć.

— Niech pan się zgodzi — nalegał, — to opłakane, ten ogólny upadek inteligencji.

Tym razem przebrał miarę. Sprzeciwiłem się.

— Pan przesadza — odpowiedziałem. — Jesteśmy w tej chwili świadkami skupiania się całej energii, nietkniętej w ciągu czterech lat oglupienia i upodlenia i próba ta skazana byłaby na niepowodzenie, gdyby nie kierowała nią inteligencja i to nie ta inteligencja analityczna i krytyczna, niepotrzebna naszym ekliptycznym kierującym. Chodzi mi o ten rodzaj inteligencji, jakiej wymaga się od kapitana, gdy okręt jego znajduje się w niebezpieczeństwie. Jasne spojrzenie, natężona uwaga, ogromne i prawie tragiczne poczucie własnej odpowiedzialności, o to wszystko, czego można wymagać od kierownika w takich okolicznościach. Ten rodzaj inteligencji jest wart więcej niż jakikolwiek inny.

— Zgadzam się z panem — odpowiedział mój przyjaciel. — Cała inteligencja francuska oddana jest w tej chwili na usługi polityki.

Jestem jedynie ciekawy, czy zdołamy kiedykolwiek nadrobić to opóźnienie, które stało się naszym udziałem we wszystkich dziedzinach życia intelektualnego.

Zauważyłem, że opóźnienie to jest ogólne, a poza tym uczeni, filozofowie, pisarze i artyści nie przestali przecież pracować. Zdaje się jednak, że stan naszych warsztatów intelektualnych i zniszczenie, jakim uległy, były mu dostatecznie znane, bowiem na twarzy jego pojawił się gorzki uśmiech, wyrażający całkowitą niewiarę w działalność naszych intelektualistów.

— Życie umysłowe rozwija się w dużej mierze dzięki dyskusjom i wymianom poglądów, a w tym celu trzeba mieć papier, trzeba rozporządzać czasopismami, przeglądami, książkami...

— Oto przyczyna zła — zawołałem — Brak papieru daje nam to wrażenie całkowitej martwoży!

Lecz rozmówca mój nie zdawał się być tak zupełnie pewny, że w tym leży całe zło.

Te dwa spotkania zmusiły mnie do rozmyślań, ponieważ jest niezbytym faktem, że uwagi moich przyjaciół są wyrazem obiektywnej rzeczywistości, z której istoty teraz dopiero zacząłem sobie zdawać sprawę. Życie intelektualne i literackie w kraju wydało mi się nagle martwe, jak pustynia i ogarnęło mnie głębokie przygnębienie.

Od tego czasu walczę z myślą, że piękna literatura ostatnich dwudziestu lat — nie można bowiem zaprzeczyć, że między 1919 a 1939-tym rokiem mieliśmy bardzo piękną literaturę — skończyła się całkowicie. Gdyby młoda generacja dorosła do poziomu swojej poprzedniczki, stałoby się to już wiadome. Tłumacząc sam sobie, że jestem zbyt niecierpliwy, ponieważ do chwili obecnej pokolenie to nie miało warunków moralnych ani materialnych, by wykazać wszystkie swoje możliwości. Powtarzam sobie, że trzeba zacząć na powrót nieobecnych a także na powrót papieru. Pocięszam się, że ostateczne zwycięstwo przyniesie tę atmosferę prawdziwej wolności, której, być może, brak nam najwięcej. Wzajemne współzawodnictwo i walka staną się bodźcem, koniecznym dla rozwoju intelektualnego i twórczości. Lecz mimo te argumenty, czuję nieokreślony niepokój. Rozpoczyna się nowa epoka, którą wyznaczać będzie wielki wysiłek odbudowy i reorganizacji. I obawiam się, że będzie to ze szkoda dla sił twórczych, ze szkoda dla talentu, pojętego jak najszerszej, włączam tu bowiem i rodzaje takie, jak fantazja czy oryginalność. Oryginalność, fantazja, kto wie, czy nie na długo wyczerpałyśmy ich wszystkie możliwości. Jedyne na przestrzeni mego życia, nawet nie docierając do impresjonizmu czy bergsonizmu, cóż za obfitość form, barw, dźwięków, słów, rytmów, idei... I jak żalony koniec! Czy najbliższa przyszłość przyniesie nam zmianę? Jak bardzo chciałbym być tego pewien!

André Billy

(„Opera“, Paryż, 9 maja 1945 r.)

WACŁAW KUBACKI

„Powrót taty”

Spośród różnych odmian skrótu, z jakimi spotykamy się w twórczości literackiej, na szczególną uwagę zasługuje skrót psychologiczny. Sprawa ta bowiem sięga do tych głębszych warstw procesu twórczego, gdzie ważą się losy nie tylko dzieł, ale również form. Jest to równocześnie jeden z najzwyklejszych punktów poetyki romantycznej. Nagły przełom moralny, przedstawiony w „Powrocie taty”, doczekał się wielu uwag i oświeleń. Na uboczu została jednak sprawa najciekawsza: literacka psychologia tej ballady. K. Górski („Pogląd na świat młodego Mickiewicza”, Warszawa, 1925) i St. Kotłackowski („Mickiewicz jako człowiek”, wstęp do XIII t. „Dzieł” Mickiewicza w wydaniu sejmowym) są zdania, że kreśląc taką sytuację psychologiczną zdradzał się Mickiewicz, że sam był zdolny do podobnych przewrotów. J. Treliak dostrzegł filiację z balladą Schillera „Der Gang nach dem Eisenhammer”, („Adam Mickiewicz w świetle nowych źródeł 1815—1821”, Kraków 1917, str. 264—265); ponieważ było to już po ogłoszeniu „Korespondencji Filomatów”, więc trudno policzyć mu to za specjalną zasługę (III, 154—156 i 170). Od dyspozycji psychologicznej do filiacji literackiej — zbyt to obszerne i metodologicznie mało pojęte pole do badań!

Zacznijmy od najbardziej materialnych podstaw, od konkretnego drobiazgu z rodzimej, nowogrodzkiej tradycji Mickiewicza. Brat poety, Franciszek, podaje ciekawy materiał do motywu nagłego wzruszenia się „grzesznika” w opowieści o Cycianowie, wodzu armii rosyjskiej oblegającej Nowogródek w czasie zamieszek, wywołanych upadkiem króla szwedzkiego Karola XII. Cycianow postanowił spalić broniącą się w zamku załogę. „Wieczorem już wszystkie przedmieścia zdały się na łaskę zwycięzcy. Gdy rabunek, swawola trwały godzin kilka, sam osobiście udał się, ażeby ze złota i srebra obredzić przybytki Pańskie; staje u podwojów Kościoła XX-ty Dominikanów i wzrok rozbójnika ciska na obraz św. Michała. Postawa tego archanioła upokarza rabusia: płacze, bije się w piersi, pokłony odbija i zapalenia stosów, koło zamku wzniezionych, zaniechać rozkazuje — a tych splonąca już część niemała. Nareszcie ostatki zgaszon. Cycianow, z rozwiniętym pod miastem obozu nagle cofając się srebrną sukienką obraz Michała udarował” („Pamiętnik Fr. Mickiewicza”, wyd. J. Kallenbach, „Ossolineum”, str. 65). Przypomnijmy, że w szkole Dominikańskiej, gdzie ta tradycja kwitła, uczył się Adam Mickiewicz.

Stosunek naszej ballady do Schillera wymaga określenia bardziej ściślej, niż to, które znajdujemy u Treliaka: „Były w niej i w idei i w szczegółach wyraźne echa ballady schillerowskiej „Der Gang nach dem Eisenhammer”. Tematem Schillera jest wprawdzie ocalenie bohatera przez modlitwę, jednak nie przez wewnętrzne, nawet nie przez psychologiczne działanie modlitwy, lecz na skutek pomyłki, spowodowanej przez czysto zewnętrzny fakt przedłożonego nad miarę pobytu w kościele. Czytelnikowi przychodzi na myśl, że ocalenie nastąpiłoby także wówczas, gdyby bohater zabawił gdzie indziej lub gdyby w kościele zdrzemnął się, zamiast modlić. Przyjrzyjmy się motywacji Schillera: rzecz dzieje się w średniowieczu, w epoce wiary, która ma usprawiedliwić naiwność i prostoduszność młodzieńca jak i nawrócenie feudała skłonnego widzieć w przypadkowym zbiegu okoliczności palec Boży. Nerwem ballady, wprawiającym wszystko w ruch, jest jednakże nieporozumienie sytuacyjne, qui pro quo. Przełom w duszy porywczego feudała to wążek poboczny, to moral w epilogu. Schiller przedstawia zewnętrzny bieg wypadków; w trosce o równowagę moralną ocalenie niewinnego zostało nawet, zwyczajem dramatycznym, powiązane z ukaraniem oszczercy.

Schiller tworzy, jak artysta nowoczesny. Nasza potrzeba realistycznej motywacji wywołuje w poezji balladowej zjawisko dwoistej interpretacji przedstawianych zdarzeń: realnej i fantastycznej, psychologicznej i cudownej. Warto przypomnieć fragment przedmowy W. Solowieja do powieści Al. Tołstoja „Upiór”: „W prawdziwie fantastycznym pierwiastku zawsze pozostaje zewnętrzna, formalna możliwość prostego wyjaśnienia zwykłego, powszechnego związku zjawisk, przy czym jednak to objaśnienie jest ostatecznie pozabawione wewnętrznej prawdopodobności. Wszystkie szczególne (chyba, poszczególne?) drobiazgi powinny mieć charakter powszedni, a tylko związek całości wniwni ukazywać inną przyczynowość” (cyt. B. Tomaszewski w „Teorii literatury”, Poznań, 1935, str. 167—8). Tomaszewski jednak nie zwrócił uwagi, że Solowiej mówiąc o fantastyczności zacieśniał zagadnienie do poetyki swej epoki, a mianowicie wyraźnie formułuje on w tej przedmowie zasady symbolizmu.

Z odrębności ballady schillerowskiej od typu ludowej ballady szkockiej zdawał sobie sprawę Mickiewicz, czytany w teoretycznej literaturze niemieckiej (por. wyd. sejm., V, 258). W przeciwieństwie do Schillera Mickiewicz daje dramat wewnętrzny. Nie dość

szczególnie stwierdzić „nawrócenie”, trzeba zbadać literacki mechanizm, jakim posłużył się poeta w przedstawieniu tego zdarzenia. Uderzającą rzeczą jest, że katastrofa przygotowuje się poza sceną. Bohater stoczył walkę z sobą za kulisami, jakby symbolicznie ukryty w zaroślach koło przydrożnej bożej męki, zanim się w ogóle przedstawił widzom. Jesteśmy świadkami jedynie epilogu. Poza zjawiskami codziennymi i nic nie znaczącymi dzieje się istotny wątek, cud psychologiczny. Jak w misterium średniowiecznym mamy tu piekło i niebo, szatanów i aniołów obok siebie: zbójcy czatują na swą ofiarę przy cudownym obrazie, a dziateczki śpiewają litanię i mówią paciorki wobec chóru rozbójników, wypatrujących z chrustów kupca wracającego z pełną kieszą do domu. Aczkolwiek „Powrót taty” zalicza się do ballad, niewiele ma ten wiersz wspólnego z techniką balladową. O wiele więcej z powieścią poetycką. Motywacja bardzo dyskretna. Hershert wzruszył się naiwną wiarą dzieł, wspomni o własnym synku — „ojczyste przyszły na myśl strony”. Utrzymanie „cudu” w granicach prawdopodobieństwa psychologicznego widoczne także w przełotnej jednorazowości tego faktu — rozbójnik po dobrym uczynku wraca „do lasu”. Nie wiemy, ile on jeszcze, po tych wszystkich paciorkach i litaniach, pałek strzaska na kupieckich głowach.

Happy end — pozorny. Skruszony grzesznik pozostaje przy swym procederze. Co więcej, właśnie ten realistyczny, moralnie smutny finał uprawdopodobnia nam psychologicznie chwilę szlachetności, odruch wspaniałomyślności u zbójcy. Stać go było na jedną amnestię! Choć wszystko na tym świecie jest zasadniczo możliwe i całkowite nawrócenie bandyty byłoby może bardziej „przełomowe”, cudowne i balladowe — to jednak w imię, choć zresztą osobliwie skonstruowanego, poczucia „prawdy” wolimy owo wykoślenie się wiersza z torów balladyzacji.

Przy zachowaniu prawdopodobieństwa psychologicznego mamy tu przykład umiejętnego ocalenia „motywu cudu” widoczny w rozwoju wypadków; mimo modlitwy i przełomu moralnego napad dochodzi do skutku, hershert powstrzymuje swą drużynę dopiero po chwili, więc w momencie napadu nie był jeszcze zdecydowanie „nawrócony”, wstrząs moralny mimo wszystko nastąpił nagle, jakby bez przygotowania. Gra prawdopodobieństwa (motywacji) i nieprawdopodobieństwa (cudu) dała doskonały efekt czysto literacki: ocalenie kulminacyjnym momencie, gwałtowny zwrot wypadków, perypetie. Sama forma powieści poetyckiej ułatwiała odpowiednio postępowanie się czasem literackim. Byron nauczył takich sekretów poetyckiego skrótu, jak np. wyjaśnienie antecedenów w epilogu, odwracanie porządku zdarzeń, pozostawianie czytelnika w niepewności co do dalszych losów bohatera itp.

Mimo wszystkich nowości, jakie rzęziły kolegów filomatów ballada ta w zakresie cudowności spełniała przepisy poetyki pseudoklasycznej:

„We wszystkim się należy pewnej trzymać miary
Czasem prawda nie będzie podłoga do wiary;
Nie wiec nad podobieństwo nie stawiaj do prawdy,
Cud w dziełach rymotwórczych podejrzany zawy
Ludzkim działaj sposobem. W ostatniej potrzebie
Gdy ziemskie siły słabe, szukaj zemsty w niebie!”

(Fr. Salezy Dmochowski, „Sztuka rymotwórcza”, III, Warszawa, 1826).

List Mickiewicza do A. E. Odyńca, poświęcony krytyce jego ballady „Zbrodniarz”, świadczy wyraźnie, że młody poeta wyznawał zasadę „ludzkim działaj sposobem”, czyli że przede wszystkim był artystą, a potem dopiero romantykiem; „Zbrodniarz wracający pod sąd — pisał Mickiewicz — jest zdarzeniem ciekawym, ale dosyć częstym, zrobić z tego balladę bardzo trudno. Podług mnie należałoby najwięcej i najmocniej zająć się wystawieniem jego charakteru, pokazać przez jakie drogi doszedł aż do zbrodni, bo w charakterze takim musi być coś w głębi szlachetnego” (Moskwa, marzec 1826).

W ostatnich słowach wyraźnie potrąca Mickiewicz o bajronowską problematykę psychologiczną. „Ludzie Byrona — pisał Mickiewicz w 1835 w przedmowie do swego przekładu „Giaura” — gardzą taką sofisteryą (jak Panglos Woltera) czują, że są winni, cierpią; duma tylko nie pozwala im błagać przebaczenia, a czytelnik czuje, że do poprawy brak im tylko czasu, bo wszyscy zbyt szybko giną”. Ten „brak czasu” to jest właśnie omawiany skrót przebiegu psychologicznego. W tym miejscu muszę się jednak zastrzec, że nie zamierzam odkrycia motywu nieoczekiwanego nawrócenia przypisywać romantyzmowi, jak to czynią niektórzy uczeni; w takim bowiem razie trzeba by dobrego łotra, wiszącą po prawej ręce Chrystusa uznać za pierwszego romantyka ery chrześcijańskiej. Motyw ten upowszechnia się w literaturze w epoce romantycznej, nie jest to jednak zagadnienie z zakresu chronologicznej literackiej, lecz z zakresu literackiej problematyki psychologicznej. Ta zaś sprawa wykracza daleko poza ramy romantyzmu, umie-

szczanego zwykle w określonej rzeczywistości historycznej. Takie nieoficjalnie literackie rodzaje jak przypowieści, różne specula moralne i biografistyka religijna, zarówno buddyjska jak chrześcijańska, nie mówiąc już o baśniowej twórczości ludowej, zawsze pielęgnowały motyw nagłej zmiany charakterologicznej.

Zasadą opracowania literackiego nawet rzadkich zdarzeń musi być według Mickiewicza motywacja czyli dostateczny przedział czasu bohaterom. Trudności takich tematów polega na trudności motywacji, bo motywacja musi być z kolei poddana innym elementom artystycznego organizowania dzieła, jak właściwości poszczególnych rodzajów literackich, zwyczaje artystyczne epoki, właściwości indywidualne autora i jego społeczne podłoże, zamiar artystyczny, założenie ideologiczne itp. Nawet sam brak motywacji musi być aktem motywacji. Motywacja, ułożenie łańcucha przyczynowego czyli wszelki wysiłek porządkujący — to należy też do twórczości artystycznej — są z natury swej racjonalistyczne. Nawet tzw. sprawy irracjonalne i fantastyka realizują się w dziele przy pomocy czynności w istocie swej racjonalistycznych i realnych.

Analiza formalna odkrywa mechanizm ideologiczny porównywanych tu ballad. Racjonalizm Schillera znalazł swą funkcję czysto artystyczną; wyraził się sytuacyjnym uprawdopodobnieniem czyli fabulacją średniowiecznego motywu legendowego; z legendy pozostał szkielet zewnętrzny. Irracjonalizm pchnął Mickiewicza w kierunku przeciwnym; wątek z natury swej psychologiczny przekształcił w motyw jakiejś świętej legendy. Mickiewicz potrafił jednak w tej balladzie dla celów

wyższej, „fantastycznej” motywacji zużytkować motywację zwykłą, fabularną. Dużo się pisało o polemicznym charakterze „Romantyczności”. „Powrót taty” to dalszy ciąg walki Mickiewicza o światopogląd artystyczny: klasycyzm Mickiewicza stanął do rozprawy z Mickiewiczowskim romantyzmem. I zwyciężył! Jeszcze na jednej rzeczy polega literacki smak tej naiwnej ballady: przełom duchowy, niespodzianka, należy w pewnym znaczeniu do wielkiej literackiej domeny sensacji. „Powrót taty” to przecież motyw typowo sensacyjny, historia bandycka, napad z cudownym ocaleniem; tylko, że pod ręką Mickiewicza z romansu awantur zrobiła się, według metody bajronowskiej opowieść o nadzwyczajnej przygodzie psychologicznej.

Mamy w balladzie Mickiewicza przedstawiony wypadek tej dziwności psychologicznej, z którą zapoznaliśmy nas powieści poetyckiej Byrona. Sprzymierzającym przeciw Śniadeckiemu był Szekspir; przeciw Schillerowi — Byron. Rzecz ciekawa i niezmiernie charakterystyczna dla poetyki naszego wiecsza, wiążącej twórczość poetycką ściśle z życiem poety, że za istotę bajronizmu i za faculté maitresse geniuszu Byrona uważał Mickiewicz zdolność do przewrotów duchowych. Do Al. Chodźki pisał Mickiewicz dnia 8. II. 1842: „Czas bracie zrobić poezja. Tym tylko zwyciężymy wszystkich poetów, a o ile zrobim, o tyle tylko zdołamy zaśpiewać. Czy myślisz, że biedny Byron napisałby tyle wielkich strof, gdyby nie był gotów i lordowstwo i Londyn rzucił dla Greków? W tej to gotowości leżał sekret jego siły pisarskiej, którą inni poeci chcieli wykraść z jego książek a nie z jego duszy”.

Z obozów

Jan Gwiżdżomski. Wspomnienia z pobytu profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego w niemieckim obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen. Z przedmową prof. dr. Stanisława Kutrzeby. Kraków, St. Kaminski, 1945; str. 207 i 1 nr.

Logiczny rygor w ustanawianiu hierarchii sądów o rzeczach i ich znaczeniu zdaje się być obcy autorowi wspomnień z obozu w Sachsenhausen. Dzięki wyjątkowo wiernej i uszułnej pamięci, potrafi prof. Gwiżdżomski, jeden z uczestników i ofiar niemieckiej „Sonderaktion Krakau”, odtworzyć wszystkie drobiazgi i drobnostki zagarnięcia, zamknięcia w koszarach, przewiezienia, pobytu w więzieniu wrocławskim i w obozie w Sachsenhausen, a na koniec powrotu do domu grupy Uniwersytetu Jagiellońskiego i Akademii Górniczej. Z powagą należąca szczególnie wielkim sprawom notuje każdy posiłek i trapi się, że spożył obiad, „którego niestety(!) dziś nie mogę sobie przypomnieć”. Pamięta bowiem, rejestruje, rozważa i analizuje treść posiłków (str. 51—2 i wikt więzienny od 17—27. XI. 1939 roku), kończąc poważną i, trzeba przyznać, gruntownie uzasadnioną konkluzję: „Z powyższego wnose, że w więzieniu wrocławskim podawano mięso co drugą niedzielę”. Rzecz jest równie doniosta, jak drugi fakt. „Mianowicie przez cały czas pobytu we Wrocławiu nie dostaliśmy nie tylko cukru, ale nawet niczego słodkiego, nawet lyczki czekolady”. Na szczęście „były cukierki i czekolada, które żona przyniosła mi w ostatni dzień naszego pobytu w koszarach na Mazowieckiej. Naprawdę codziennie po obiedzie zjadaliśmy z Jerzym Lande po jednym cukierku, a gdy skończyły się cukierki, zjadaliśmy po wytwornym, więziennym obiedzie na deser po małym kawałku czekolady”.

Infantylizacja poważnych bądź co bądź przejść razi i obraża, tym więcej, że kamienna powaga ich dziejopisów ma swoje źródło w przeświadczeniu, że grupa 183 krakowian stanowi soczewkę sprawy polskiej w wielkiej zawierusze. „Władec Wolter ciągle powtarza, że my dziś piszemy historię i że dzień 6 listopada będzie po wieczne czasy świętem Uniwersytetu Jagiellońskiego” (str. 27—28). Ale prof. Wolter ma widać szczególne dyspozycje do egzaltacji i wielostronnej przesady. Sam autor jest skłonny do niejakiemu umiarkowaniu: „Aresztowanie nasze było pierwszym masowym aresztowaniem w historii większej grupy Polaków, przeciwko którym nie usiłowano formułować jakiegokolwiek oskarżenia”. Nie było pierwszym. Bez dokumentów w ręku można przypomnieć Bydgoszcz, w której bez zabawy w formułowanie oskarżeń urządzono krwawą masakrę i rzeź masową. Zresztą w ciągu pierwszych dwóch miesięcy okupacji było mnóstwo okrucieństw, gwałtów, zbrojstw, tak że palma pierwszeństwa nie może się ostać w rękach szanownych wprawdzie, ale nie pierwszych.

Nie pierwszych, chociaż prof. Gwiżdżomski upiera się przy tym z ambicją. „Zresztą z pewnego punktu widzenia był nasz pobyt w Sachsenhausen cięższy nawet od pobytu w Oświęcimiu. Nie mogliśmy mianowicie dostawać paczek, wskutek czego tym silniej dawał się nam we znaki głód i chłód”. W Stalagu w Bergen—Belsen byli przez cztery lata żołnierze rosyjscy, którzy nie dostawali znikąd paczek i w ogóle niczego. Przez obóz prowadziła starym utrzymywana aleja z wzorowo wypisanym napisem na tablicy: „Friedhofstrasse”. A na cmentarzu 30 tysięcy jeńców, zmarłych na gruźlicę. „Handlowali piaskiem”.

Nie pierwszych. Skromny porucznik łączności Tadeusz G., jeńiec Oflagu po warszawskim powstaniu, poprzednio zaś pensjonariusz Oświęcimia w ciągu kilkunastu miesięcy, mówi spokojnie, z głębią, za którą zapłacił śmiercią: „Byliśmy gromadą zrzuconą do grobu i wszystko, co ludzie, dla nas było nieważne. Na sentyment i wględy nie było miejsca”. A 19-letni młodzik, który za obronę gruzów św. Jana na Starym Mieście nosił Virtuti Militari i Krzyż Walecznych na piersi, a straszne rany i ropienie na twarzy i w jamie ust, dopiero po dłuższej przytomności, w jedną noc bezsennej na szpitalnej przyczółku, zdradził się z historią swej fantastycznej ucieczki z Oświęcimia.

Należy żywić anse do autora monografii o męczennikach w Sachsenhausen za uprawianie ambicji niewczesnych i nie na miejscu. Historia ludzi starszych, z profesji niepraktycznych, niezdatnych do ponoszenia przywacji i znoszenia rygorów, dziecięco bezsilnych wobec brutalności, schorowanych i chorujących, posturkiwanych, trzymanych na mrozie i źle karmionych, jest wzruszająca. „Zaraz po przejściu bramy Takliński upada, na niego wywraca się Sternbach”. „Zabinski — tak samo, jak rano Grabowski — zapomniał zdjąć czapkę, ów SS zdjął mu czapkę z głowy i bił go nią z obu stron po twarzy, licząc przy tym głośno: do czego się w ten sposób dwunastu”. „Plaga nasza było częste wychodzenie w nocy do ustępu niektórych naszych — zwłaszcza starszych kolegów. Byli tacy, którzy wstawali co noc po dziesięć razy”. Czarne dni, szczególnie rano i wieczorem. Apele. Ostatnie dni i śmierć Stanisława Estreichera na umerię, Tadeusz Grabowski zapada śmiertelnie. Maciej Staszewski sporządza usty testament. Powolnie konanie Antoniego Meyera na raka. Jerzy Smoleński — („Mnie się zdaje, że ja już tu wyciągnę kopytka”). Michał Siedlecki sam chory na zapalenie płuc wygłasza wspomnienie pośmiertne o Smoleńskim. Stefan Bednarski, Kazimierz Kostanecki — róża. Adam Różański, Feliks Rogoziński, Ignacy Chrzanowski, Władysław Takliński. Już po zwolnieniu umiera w rewirze Antoni Hoborski. Jan Nowak jest w takim stanie, że opracowa z SS pyta: „Ja, loht es sich diesen noch mitzunehmen”?

Wszystko, co autor przeżył, nie wywołuje u niego ideowego wstrząsu i wynikającej zń potrzeby sprawienia poglądu na życie i sens jego spraw. Nie znać egzegezy prawdy, która kryje się, musi być jakaś pod gruzami światła leżąca w przepaści. Gwiżdżomski cierpi, lecz pozostaje oschły i nieporuszony. Uprawia powierzchowną obserwację środowiska i daje jego opis zredukowany do szczegółów, martwe runy, w których nie drga dramat mas i tragedia jednostek. Notuje uwagi o Niemcach z obsady obozowej i Niemcach więźniach, o Polakach z Westfalii. Wielka grupa Czechów i Żydzi są dla niego szarą, beżmienną rzeszą, zbyt luźnymi wzmiankami. „Jest też w obozie masa Czechów. Rozpoznają ich łatwo po naszywkach na bluzach i spodniach”. W tłumie nieszcześliwców przepadają dwaj Żydzi, towarzysze niedoli. „Po kolacji wprowadzono od nas Żydów. Odchodzą więc Sternbach i Metallmann; trzymają się po bohaterku i nie pokazują po sobie, co się z nimi dzieje. Ich los nie jest do pozazdroszczenia. Odcinają ich od naszej grupy, a przyłączają do tej kategorii więźniów sachsenhausenskich, która jest niewątpliwie najbardziej niedługo traktowana”.

Zastanawiający jest niski stopień politycznego wyrobienia, pod którego znakiem pozostawały już rozmowy rektora z generałem Schumannem i mjr. Menzlem oraz Obersturmbannführerem Müllerem. Na podstępny „wykład” profesora popłynęła ława i jeszcze zabierała z sobą znajomych, a sam autor toczył tragicomiczną (własnym zdaniem) walkę z policjantami niemieckimi i wraz z kilku kolegami przypuszczał aż trzy szturm, by dostać się w pułapkę. Wśród motywów tej gorliwości szczerze podaje, że „bałem się, że na wykładzie będzie w ten czy inny sposób przeprowadzana kontrola obecności i że w stosunku do nieobecnych zostaną zastosowane te czy inne represje”.

Tak strach powiódł na drogę bohaterstwa. Jego utrwalony ślad nie jest konterfektem, na który jeszcze wypadnie poczekać. Intelktualistów w grupie nie brakło.

Józef Sieradzki

Antoni Gładysz. Powrót z piekła hitlerowskiego. Wspomnienie z obozu koncentracyjnego w Gross-Rosen i Litomierzycach. Tarnów, 1945; str. 56.

Wstrząsający pamiętnik Antoniego Gładysza jest raczej obszernym zeznaniem więźnia dwu obozów koncentracyjnych. Prokurator znalazł w nim sporo materiału, gdyż autor podaje z imienia i nazwiska szereg osób, także „Polaków”, którzy zaznaczyli się zezwierzczeniem. „Myślałem... że może lepiej nie poruszać tego tematu, bo co pomyśl o tym zagnana, że Polacy przecież są nie mordercami!” (str. 33). Przesadny pesymizm i niedopuszczalne uogólnienia mają swe źródło w głębokich przeżyciach i szczerym patriotyzmie autora.

Dla interesujących się kanibalizmem nowe świadectwo: „...dziś jeszcze w pamięci stoją mi niektórzy więźniowie, którzy niedopalone w krematorium resztki ciała ludzkich — obgryzali na skutek głodu” (str. 18).

Na koniec ponury dokument psychologiczny z duchowego życia człowieka sponiewieranego i zmaltretowanego: „Przyrzekam na świętości, że każdy Niemiec, który wpadnie w moje ręce, objętnie, młody czy stary, swe życie zakończy musi”. „Język i styl książeczki wadliwy.”

JUŻ UKAZAŁ SIĘ W SPRZEDAŻY
REPORTAŻ

ZOFII DRÓŻDŻ I WŁ. MILCZARKA

ZAKOCHANI
W POMORZU

STRON 40

ZI 15

ILUSTR. 37



SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA „CZYTELNIK”

W poprzednim (41) numerze „Odrodzenia” z dnia 9 września: Wincenty Bednarczuk: Dwie ważne sprawy. — Stanisław Helsztyński: Tragiczne dzieje Kaźka ze Szczecina. — Roman Bratny: 14 lipca w Paryżu. — Maria Krzetuska: Czytam wiersz. — Helena Boguszevska: Do trzech razy... — Henryk Szletyński: O twórczości Stefana Jaracza. — Eugenia Kocwa: Jedziemy na Dolny Śląsk (3). — Józef Reiss: Sprawa Mikołaja Gomółki. — Adam Bahaj: Przekłady z węgierskiego. — W oczach pisarzy. — Antyketa „Odrodzenia”. Odpowiedź Wacława Kubackiego. — Zygmunt Fijas: Wspomnienia z Nagłowic. — Jan Kott: Po prostu. Spisek milczenia. — Korespondencja (Fr. Wł. Mortimer). — Tadeusz Breza: W teatrach krakowskich. — Józef Sieradzki: Temat warszawski. — 8 stron.

Wystawa malarstwa i rzeźby w Krakowie

Otwarta w Towarzystwie Przyjaciół Sztuk Pięknych wystawa malarstwa i rzeźby Związku Zawodowego Polskich Artystów Plastyków informuje dość dokładnie o obecnym stanie malarstwa krakowskiego. Blerze w nim udział 94 malarzy sztalugowych, i miniaturzystów i 12 rzeźbiarzy. Wystawiono 170 obrazów, 23 miniatury i 12 dzieł rzeźbiarskich. Jest to zatem pokaz, jak na nasze stosunki, dość obfity, choć pod względem jakościowym nie równy. Przy jego ocenie należy jednak uwzględnić wiele tzw. okoliczności lagodzących, a przede wszystkim fakt, że jest to pierwsza w Krakowie wystawa powojenna, co zmusza do podkreślenia spustoszenia, dokonanych przez wojnę w zakresie plastyki polskiej. Chodzi przy tym nie tylko o straty osobowe, spowodowane śmiercią artystów, lecz także o zahamowania w rozwoju duchowym tych, którzy przetrwali wojnę. W ciągu lat sześciu szczęśliwsi, czy bardziej odporni i uparci pracowali w niepełnym „zacznie” pracowni lub jednoizbowego mieszkania nad problemami, związanymi z ich swobodnym zawodem, odrywani od niego grozą toczących się wydarzeń. Inni musieli rezygnować z uroków twórczości, mając się zająć przygodnymi. Jedni i drudzy byli daleki od Europy i jej zachodnich ognisk sztuki, skazani na kontakty ze światem za pośrednictwem czasopism niemieckich. Wyjaśnia ona powstanie oglądanych dzisiaj malowideł i rzeźb, które przedstawiają się na ogół tak, jakby nie przeszła nad światem burza totalnej wojny, jakby przedwojenne wierzenia i normy ideowe wciąż jeszcze trwały aktualne i nienaruszone.

Dla wielu polskich artystów własny świat sztuki, uprawiane w samotności i z dala od „rynku”, był ucieczką od koszmarniej rzeczywistości. Było to rozumiane i ludzkie. W tej atmosferze pielegnowanie przedwojennej tradycji artystycznej tłumaczyło się jako psychologiczna konieczność. Wyjaśnia ona powstanie oglądanych dzisiaj malowideł i rzeźb, które przedstawiają się na ogół tak, jakby nie przeszła nad światem burza totalnej wojny, jakby przedwojenne wierzenia i normy ideowe wciąż jeszcze trwały aktualne i nienaruszone.

Genealogia zebranych na wystawie malowideł sięga impresjonizmu, powstałego w liberalnej atmosferze trzeciej republiki, ściślej, łączy się z post-impresjonizmem, którym to terminem obejmuje się zbyt sumarycznie wiele różnorodnych zjawisk, datujących się od czasów Cézanne'a. Wiele też znalazło się na wystawie obrazów historycznie i artystycznie obcych, których nie warto wiązać z żywym nurtem sztuki, które wyrastają albo z biernego stosunku do świata albo z łatwego konserwatyzmu i braku dyscypliny wewnętrznej, jakiej nie może zastąpić sam talent.

Niewątpliwą łączność ze sztuką francuską cechuje obrazy zebrane w dużej, środkowej sali gmachu, pod względem poziomem formalnym najbardziej jednolite. Na czoło wysuwają się tutaj dzieła następujących malarzy: Eugeniusza Eibischa, Jerzego Fedkowieza, Adama Marczyńskiego, Zygmunta Radnickiego, Hanny Rudzkiej-Cybisowej, Czesława Rzepińskiego, Juliana Studnickiego i Stanisława Szczepańskiego. W obrazach tych malarzy, chociaż przynależnych do wspólnego gatunku, ujawniają się również cechy indywidualne. Podstawą wspólnoty jest kuit koloru oraz szlachetna materiałność powierzchni malarskiej, będącej funkcją zarówno koloru jak skomplikowanej faktury. Jej rezultatem staje się zespół drobnych plam barwnych, określonych szerokością pędzla. Reguła ta dopuszcza jednak odchylenia, bo w pewnych przypadkach ów analityczny stosunek do barwy zaczyna się przeobrażać w dążność do syntezy. W rzeczywistości do impresjonizmu, który rozszczał kolor pod wpływem analizy spektralnej w dążeniu do odtworzenia istoty słonecznego światła, współczesny artysta rozbiła lokalną barwę wyłącznie w celu wzbogacenia kolorystycznej struktury dzieła. Jest to więc dalszy ciąg antynaturalizmu i autonomizmu plastycznego. Nie chodzi już bowiem o odwzorowanie zrelatywizacji pigmentów pod wpływem światła a więc o stwierdzenie optycznego zjawiska, lecz o tendencję czysto obrazową, bardzo wyjątkową, zmierzającą do zorganizowania nowej, bogatej rzeczywistości barwnej rządzącej się własnymi prawami. Celem unikatową nieporozumienia, wyjaśnić przecież trzeba od razu, że wole artysty, przynajmniej w tej chwili, ogranicza jednak obiektywne prawa przedmiotów, bo na ogół przedstawione natura przedmioty i liście kwiatów są wciąż jeszcze zielone, jabłka czerwone, karnacje różowe itd. — ale owe zielenie przekształcają się na nowe, blade opalizujące harmonie (Szczepański), na bogaty system drgających odcieni i przeciwstawnych lub uzupełniających się tonów (Eibisch), czerwienie różniczkują się na elementy czerwonej gamy, zasłajając się równocześnie składnikami gam innych, różnie zaznaczają grać obfitym rejestrem niuansów („Dziwczynka” Eibischa i „Portret” Rudzkiej). Jedną z głównych właściwości opisywanego malarstwa i zapewne następstwem odrzucenia wartości bezpośredniego światła słonecznego, jest dyskretny stosunek do waloru, a więc rezygnacja z mocniejszych kontrastów światłocienowych na rzecz kontrastów barwnych. Owa jednolitość natężeń barwnych sprawia, że malowidła zyskują specyficzną dekoracyjność. Zważając na to, że malowidła nie ma nic wspólnego z secesyjną kaligrafia, ale równocześnie wykresłały wyrazną granicę między tymi twórcami a brytyjskim, przestępnym światłem przedimpresjonistycznego realizmu (Courbet). Rzecz oczywista, że w tak pojawnym malarstwie nie ma miejsca na „anegdote” i pozamalarskie emocje, przynajmniej w założeniu. Niekiedy nawet ulegają zatarciu wyobrażenia przedmioty, służące tylko za pretekst do kreacji barwnych. Wśród tematów obrazowych przeważają pejzaże i martwe natury a figura ludzka — jeśli się pojawia, bywa traktowana analogicznie do pejzażu lub martwej natury. Bo chodzi tylko o kolor, tylko o powierzenie obrazową, tylko o doznania estetyczno-formalne. Co do kwestii stylizacyjnych „filiaczy” wystawionych obrazów, prowadzi one przede wszystkim ku sztuce Cézanne'a (np. Radnicki, Marczyński, Wojciechowski), Bonnard (Rudzka, Studnicki, Szczepański). Niewątpliwie pozytywnym i zapewne historycznym osiągnięciem tego malarstwa jest opowiadanie koloru, który do niedawna stanowił wbrew pozorom jakości obcą naszemu malarstwu.

W ten sposób przedstawia się analizowana sztuka od strony programu. Ale ponieważ uprawiają ją żywi ludzie, zdarza się, że zapominają o programie, niekiedy może nawet świadomie. Wydaje się bowiem, że wystawa zawiera symptomy przemiany w kierunku nawrotu do przedmiotów, do przyrodnej urody fizycznego świata. Zdało się wskazywać na to „Portret dziewczynki” Eibischa, dziewczynki i żywy w kolorze, pełen wyrazu nie tylko malarskiego, — portrety Rzepińskiego (stanowiące najbardziej zdecydowaną próbę przełamania tradycyjnych oporów), duży portret kobiety Studnickiego, utrzymany w wyszukanej gamie czerwono-różowej i jeden z pejzaży Radnickiego, namalowane w tonacji srebrysto-zielonej. Spośród wybitniejszych obrazów, zebranych na wystawie warto wymienić jeszcze „Portret kobiety” Rudzkiej oraz jej duże malowidło „Okno w pracowni”, namalowane szeroko i swobodnie, wprawdzie „niewykończony”, ale pełen radosnej świeżości. — z kolei interesujące prace Marczyńskiego, oryginalne w ujęciu („Martwa natura z papugami”), mocne, nieco surowe w kolorze, za to opracowane samodzielnie i bardzo jednolite pod względem malarskim. Wytworne i ładne akordy barwne demonstrują w swych „Kwiatkach” i „Martwych naturach” Fedkowiez, atmosfera romantyzmu zniewała w srebrystym pejzażu z wodą i drzewami Łada-Studnickiej. Niepokojąca ekspresję posiada „Portret kobiety” Eibischa, uderzający blaskiem swej błękitnej gamy. Pozytywne wartości odkrywamy w pracach Zbigniewa Pronaszki, Hrynkiowskiego, Borysowskiego i Gepperta, którego batalistyką nawiązuje do Michałowskiego. Znacznie skromniej od malarstwa przedstawia się rzeźba. Srodek dużej sali Towarzystwa Sztuk Pięknych akcentuje drewniana, masyczna figura Dunińskiego („Portret Ewy W.”), wyrzeźbiona przed wojną. Dobry poziom cechuje dwie rzeźby Jacka Pugeta („Głowa męska” i „Studium zamierzone”) oraz „Głowa” Siedzińskiej. Sporo charakteru posiada „Głowa malarza E. Wasilkowskiego” wykonana przez Mariannę Wnuka. „Miłosierdzie” Horodyskiej wolno uznać za solidną rzeźbę oitarzową, zwarta i dobrze ustawiona. Jedną z głów wystawił również Stanisław Rzecki.

Z faktu, że nie wymienia się na tym miejscu innych nazwisk, nie należy wyprowadzać wniosku, iż związane z tymi nazwiskami obrazy i rzeźby nie zawierają żadnych zalet. Wstrzeźliwość recenzenta w tej mierze jest wynikiem ograniczonych rozmiarów sprawozdania a w związku z tym porzucenia na omówienie zjawisk, dla współczesności najbardziej znamiennych.

Właściwością dla obecnego malarstwa szczególnie typową jest moment specjalizacji, a więc położenie nacisku na stronie formalnej, pojmwanej przy tym w sposób wybitnie ascetyczny. Albowiem rozliczne jakości tzw. sztuki przedstawiającej (forma rysunkowa, przestrzeń-bryła, światłocien-walor, struktura barwna, faktura itd.) redukuje to malarstwo do jakości kolorystycznych i fakturowych. Rzadko też podejmuje zagadnienie kompozycji wielofigurowej, poprzestając chętniej na studium portretowym a wysuwając na czoło pejzaż i martwą naturę. Sztuka obecna stanowi dalszy ciąg i konsekwencję sytuacji duchowej, powstałej w ciągu XIX wieku, który rozbił ostatecznie ducha jednostki kultury i wytrącił artystę ze zbiorowości powszechnej, który ideał jedności zmusił go do szukania palatywów, do zamknięcia się w ograniczonym świecie problemu zawodowego, w przysłowiowej wieży z kości słoniowej. Ponieważ jednak sztuka stanowi funkcję całości i łączy się ściśle z kulturą duchową swego czasu, należy oczekiwać obok przeobrażeń społecznych i duchowych także przemian w dziedzinie sztuki. Pewne niejasne jeszcze i trudne do odczytania znamiona współczesnej twórczości plastycznej zdają się wskazywać na to, że to pasjonujące widowisko właśnie się zaczyna.

Tadeusz Dobrowolski

Rok 1945

Sens pewnych wyborów

Obznajomionemu z logiką anglosaskich wyborów parlamentarnych mógł się być pozornie wydawać niepojęty wynik ostatniego apelu rządu do wyborców. Wszystkie atuty zdawały się być w rękach konserwatystów, a pełne zwycięstwo przypadło laburzystom. Churchill dysponował decyzją o terminie, oznaczał platformę wyborczą i najdogodniejsze hasła, a nagle okazało się, że karty jego niewiele warte, że przeciwnik, którego zmuszono do podjęcia gry w warunkach możliwe najmniej korzystnych, rozegrał ją brawurowo, zagarniając całą pulę.

Porównanie to mimo pozorów słuszności jest użyte fałszywie. Jeżeli niektóre wybory angielskie w przeszłości, pozbawione wyraźnego oblicza ideowo-politycznego, słusznie przyrównywano do gry lub loterii, wybory powojenne miały zbyt istotne podłoże społeczne, by można się w nich doszukać jakiegokolwiek niespodzianki i przypadkości.

„Nikt się nie spodziewał takich wyników”. Tymczasem niespodzianką mogła być być jakaś reakcja „szarego człowieka” na kawał z listem Zinowiewa, ale nie reakcja społeczeństwa, gdy je powołano do urn wyborczych w sprawach zasadniczych. Wyborcy byli śmielsi niż wieszczkowie i zamawiacze społeczni. Wynik zaskoczył kawiarnianych polityków i konserwatywnych sekretarzy partyjnych, bo choć rozumowano trafnie, nikt z przesłanek nie ośmielił się wyciągnąć tak logicznych wniosków, jak to uczynili sami głosujący. Śledząc triumfy osobiste Churchilla na wiecach, podstawiano pod szczyry, lecz teatralny aplauz nie tylko uznanie polityczne, ale nawet społeczne. Zawód był zupełny. Anglik uczył mister Churchilla, ale wyprosił konserwatystów cisnących się za nim do Izby. Po fakcie widzowie i komentatorzy pośpieszyli z wyjaśnieniami: logika wyzwolonej Europy, zwycięstwo socjalizmu i narodu, wola stworzenia warunków dla nowego rozwoju, rewolucja przeciw dawnemu sposobowi myślenia, dodatni wpływ na utrwalenie pokoju... Dołączmy do chóru jeszcze jeden głos.

Slogan wyborczy Partii Pracy był prosty: wyżywienie, praca, mieszkanie. Konserwatyści, coż mu mogli przeciwstawić? Lęk przed bezrobociem, słumsy jako wyraz trwałego „porządku”, dysproporcje zbyt jaskrawe, „by nie zrażały” nawet „flegmatycznego syna Albionu”. Ale to nurt na powierzchni, a nie przemiany i przesunięcia angielskie są zbyt charakterystycznym i wróżebnym zjawiskiem, by nie należało sondy głębiej zapuścić. Bo, jeżeli nawet prawdą jest, że Wielka Brytania po drugiej wojnie światowej pełni rolę, która po pierwszej wojnie przypadała Francji, — rolę zwycięzcy, który minął swoje apogeum — nie jest słuszne porównanie Poincaré'go lub Clemenceau z Churchillem. Nacjonalisci i stronniactwa prawicowe Francji szły po pierwszej wojnie do pewnego zwycięstwa wyborczego i usprawiedliwiali sceptyczne określenie powojennego nastawienia politycznego jako „wyborów khaki”. Nie wyborcy zdezawuowali ojca zwycięstwa, lecz ich wybrańcy, którym z ich strony nie duch polityki zawadzał, lecz wyjątkowo starca tygrysa osoba. Treba było dopiero kilku lat powojennych rozczarowań, by „Poincaré la guerre” przepadał na rzecz liberalnego pacyfizmu i briandyzmu. W Anglii rząd konserwatywny wrócił do liberalnego punktu wyjścia sprzed 1914 roku. Wrócił rząd, ale nie wrócił świat.

Można mieć współczucie dla osobistej przykrości wybitnego człowieka, który swoją rolę historyczną odegrał z maestrią i wśród szmeru podziwu i chóru zachwyty, a gdy wyszedł przed kurtynę i zażądał uznania na piśmie, otrzymał wiązankę kwiatów i zwolnienie z engagement — ale to sprawa wie romancie, nie historii. Churchill, gdy był człowiekiem opinii uczuciowej — wygrał, gdy był człowiekiem partii — przegrał. Powinien był przegrać i — jak się przekonali sceptycy — musiał przegrać.

Współczesna muzyka polska na festiwalu krakowskim

Festiwal krakowski był doniosłym wydarzeniem w naszym życiu kulturalnym. Zaprezentowano w nim 11 polskich kompozytorów współczesnych, z których każdy o wyrażnej, własnej fizjonomii artystycznej, o ideologii wybitnie awangardowej i najpoważniejszym poziomie technicznym.

Można oczywiście dyskutować nad tym, czy wszyscy z tych kompozytorów pokazani zostali poprzez swe utwory najbardziej znamienne i czy wszystkie dzieła miały równy ciężar gatunkowy; niewątpliwą jest rzeczą, że — z młodych zwłaszcza — Panufnik np. lub Lutosławski reprezentowali byli raczej kompozycjami „mniejszego” formatu, które nie mogły dać pełnego wyobrażenia o ich talentach. Tu jednak uwzględnić musimy obecne trudne warunki, w których odbywał się ten pierwszy festiwal w Polsce odrodzonej, zaledwie w pół roku po ukończeniu działań wojennych i wyjściu okupanta, trudności komunikacyjne i związaną z tym niemożność swobodnego porozumienia się z poszczególnymi muzykami, kompozytorami, dyrygentami i solistami w różnych środowiskach trudności uzyskania materiałów itp. W tych warunkach Biuro Koncertowe Związku Zawodowego Muzyków i Filharmonia, stanowiące Komitet festiwalowy, zdały w całej pełni egzamin. Okazało się, jak wiele zrobić można, gdy do rzeczy biorą się nie przedświertlorcy handlowi, ale muzycy, traktujący rzecz wyjątkowo pod kątem widzenia artystycznego i społecznego.

Mimo tych różnic i drobnych niedoborów w programie festiwal krakowski dał dość jasny i pełny obraz współczesnej naszej twórczości muzycznej, można nawet powiedzieć, że dał pewne wyobrażenie o tendencjach, jakie dają się wyczuć w twór-

czości muzycznej ostatnich lat w ogóle. Od „Swanewity” Perkowskiego i fortepianowych drobniaków Eklera, pochodzących z wczesnego okresu jego twórczości, aż do utworów Malawskiego, Palestra i Panufnika, znaleźliśmy tu wszystkie drogi i kierunki, którymi podąża muzyka europejska w ostatnim ćwierćwieczu. Dobrze i słusznie się stało, że w programie tego festiwalu, poświęconego wyłącznie kompozytorom żyjącym, umieszczono choć jeden utwór Karola Szymanowskiego, który był ich wszystkich ojcem duchowym i wychowawcą. Pozwoliło to zrozumieć genezę niejednego z tych utworów współczesnych (nie w sensie bezpośrednich wpływów oczywiście, ale pewnych wskazań ideowych, które realizowane są zresztą bardzo różnie w zależności od danej osobowości twórczej) i ustawić go w należytej perspektywie w naszym dorobku muzycznym po Szymanowskim, stanowiącym punkt graniczny dla całej polskiej muzyki współczesnej.

Szymanowskiego „Litanie”, ostatnie jego dzieło (poza utworami, pozostawionymi w szkicach) i jedno z najdojrzałych, to niewątpliwie ciągle jeszcze dla naszych młodych ów niedosiężny ideał doskonałości. Pod względem głębokości inwencji i sztuki doboru formy i środków dla wyrażenia myśli twórczej jest niewątpliwie jednym z największych osiągnięć całej muzyki współczesnej. Egzotycki ornamentalizm melodii z III Symfonii i I koncertu skrzypcowego, użycie barwy dźwiękowej jako jednego z elementów, głęboki religijny nastrój „Stabat Mater”, łączy się tu w formie cudownie uproszczonej. W. Biedrzycki świetnie uatrzył w koncepcję tego przedziwnego utworu, wydobywając wspaniałe efekty z orkiestry i chóru (do całości tej dobrze dostrzoiła się Aniela Szlemińska, której głos pięknie brzmiał w partii solowej). Polifonia i polimelodyka jako podstawa faktury muzycznej, oraz wspomniane już świadome ograniczenie środków — oto główne wskazania, które Szymanowski pozostawił w ostatnich swych utworach młodym muzykom polskim.

Wskazania te przejęli wszyscy bez względu na to, czy do wzruszenia się liryzmem muzyki Szymanowskiego mają dyspozycje artystyczne. Pod tym względem najbliższe Karola Szymanowskiego znajdują się spośród młodszych Perkowski, Kassern i Szellgowski. U Perkowskiego zaznacza się to w wykonanych na festiwalu fragmentach „Swanewity” mniej jasno, niż w innych utworach („Tryptyk Toruński”, „Pieśń”, „7 lat japońskich”). W „Swanewity”, który jest muzyką baletową, górują akcenty rytmiczne i właściwa Perkowskiemu barwna, efektowna instrumentacja. Kolor jest też głównym elementem koncertu Kasserna na głos i orkiestrę i to traktowany w swej podwójnej funkcji: jako wrazenie i jako wyraz. W wykonaniu Z. Lutosławskiego i Ewy Bandrowskiej-Turskiej brzmiał on świetnie, jakkolwiek nie jest już w całej pełni miarodajny dla dzisiejszych zamierzeń twórczych Kasserna. Bardziej charakterystyczny jest dla nich „Tryptyk żałobny” na śmierć R. Padlewskiego (piękna, pełna wyrazu i skupienia interpretacja dr. Stani Zawadzkiej), oparty na kościelnych melodiach polskich XVII wieku, oraz wykonana na zamkniętych koncertach Zjazdu Kompozytorów sornatina „Kolejowa” na tematach z kanonów polskich. Prostota i siła wyrazu, oraz ścisłość i przejrzystość faktury — owe główne wskazania Szymanowskiego — stanowią najwłaściwszą cechę tych interesujących utworów. W tym samym mniej więcej kierunku poszła w ostatnich latach i twórczość T. Szellgowskiego, operająca się na pewnych, bardzo ogólnie pojętych cechach polskiego folkloru i prymitywnej polifonii. Jego „Epitafium na śmierć Szymanowskiego”, tętni zdrową, jedyną tematyką, ujętą w ramy ścisłej, polifonicznej konstrukcji.

Bardziej bezpośredni wpływ Szymanowskiego przebiega w fortepianowych utworach J. Eklera (zwłaszcza w „Mazurkach”), choć ich cechy harmoniczne i brzmieniowe zostały tu jakby ogładzone i wyrównane specyficzną fakturą fortepianową, w stosunku do nich trochę niewspółmierną (znakomite własne wykonanie). Bardziej swobodnie i z pewnością twórczą przedstawia Symfonia A. Malawskiego. Wykazuje on wiele cech kierunku, znanego pod nazwą „nowej rzeczywistości” (w obecnej chwili zresztą już nie „nowej” w ścisłym tego słowa znaczeniu, bo zapoczątkowanej przed jakimś 20 laty), a więc nie tylko dążność do najdoskonalszego opowiadania rzeczywistości, ale i wszystkie inne cechy faktury kompozytorskiej, wynikające z przyjęcia specyficznego współczesnego polifonii, współczesnego typu melodii i harmonii: przede wszystkim krótko-oddechowość i szybkie tempo rozwoju tej melodii. Równocześnie jednak wkłada Malawski w tę melodię więcej liryzmu, niż robi to normalnie kompozytor postępujący się tym typem faktury. Liryzm ten nadaje jego tematyce większe kontury, ale równocześnie staje się powodem trudności, związanych z formalnym ich traktowaniem, nie wchodzą one bowiem bez reszty w ramy współczesnej tw. atonalnej polifonii. Stąd pewne dłużyzny, które niekiedy stają się męczące. W przeciwieństwie do Malawskiego wykazuje II Symfonia R. Palestra idealną wprost zgodność faktury z typem samej inwencji i tematyki, a przy tym i — podobnie jak Symfonia Malawskiego — najwyższą doskonałość w opowiadaniu rzemiosła (znakomitym odtwórcą jako dyrygent był M. Mierzejewski).

Odrębne grupy kompozycji przedstawiają z jednej strony Panufnik i Lutosławski, z drugiej Szalowski i Bacewiczówna. A. Panufnika Pieśń ludowa w zespół wokalny z towarzyszeniem instrumentów dętych wykazuje przy równie precyzyjnym rzemiośle dużą świeżość inwencji i specyficzną barwę, którą osiąga środkami stosunkowo bardzo prostymi. W. Lutosławskiego Trio na obój, klarnet i fagot jest eksperymentem, który nie daje dostatecznego wyobrażenia o talentach tego kompozytora, a zrozumiemy jest tylko jako etap na drodze do techniki kompozytorskiej tradycyjnej do współczesnej (Lutosławski wyszedł z klasy kompozycji Malcewskiego i zaczął od utworów ściśle tonalnych, od których z czasem oddalał się coraz bardziej). G. Bacewiczówna jest w swej Uwerturze typową przedstawicielką muzyki motorycznej: tempo, ruch, temperament jest tu wszystkim, podobnie, jak w Uwerturze A. Szalowskiego, jednym z nielicznych utworów festiwalowych, napisanych dość dawno i wykonywanych często przed wojną (na co wskazuje już choćby wyraźny wpływ jazzu).

Osobną pozycję przedstawia kwartet smyczkowy R. Padlewskiego, jednego z naszych najdotkliwszych młodych kompozytorów, który padł w powstaniu warszawskim (równocześnie wybitnego skrzypka, dyrygenta i muzykologa). Jako jeden utwór jest i on oczywiście niewystarczający, by scharakteryzować twórcę bez reszty (Padlewski pozostawił szereg innych utworów skrzypcowych, pieśni, dzieł kameralnych i opracowań symfonicznych), ale zwraca uwagę świeżością i czystością linii tematycznej i specyficznym pięknem brzmienia mimo pewnych niedociągnięć w konstrukcji (wykonał kwartet Eugenii Umińskiej).

Lista 13 dzieł, objętych festiwalem krakowskim, nie wyczerpuje ani w części wojennej twórczości muzycznej naszych kompozytorów. Konieczne jest wciągnięcie całej tej wielkiej reszty do programów najbliższego sezonu koncertowego.

Stefania Łobaczewska

Wszystkie wydawnictwa, nadsyłane do redakcji, będą odnotowywane w specjalnej rubryce.

Recenzje zamieszczane będą jedynie z książek, nadsyłanych bezpośrednio pod adresem redakcji.

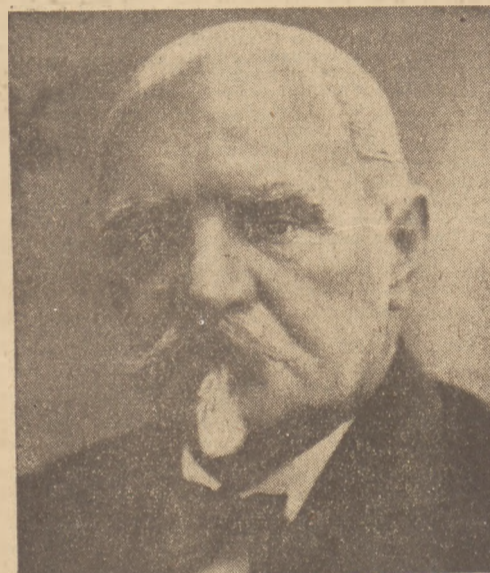
Wydawcy i autorzy proszeni są o przysyłanie nowości możliwie w dwóch egzemplarzach.

Jan Alfred Szczepański

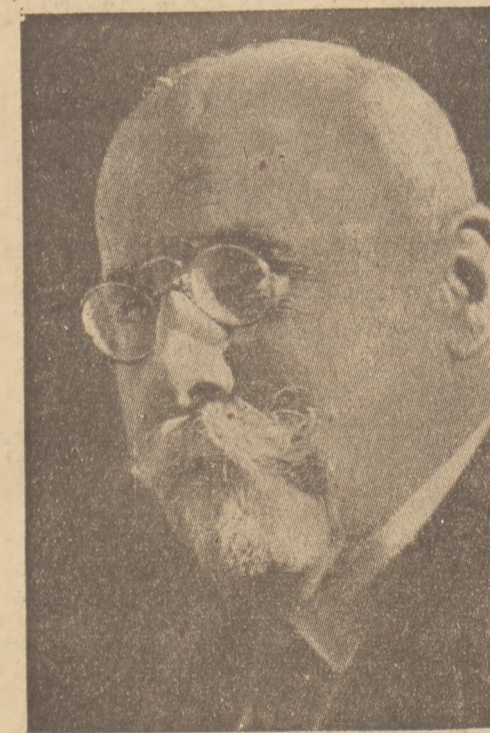
Kronika ilustrowana STRATY LITERATURY POLSKIEJ



IGNACY CHRZANOWSKI



ZENON PRZESMYCKI (MIRIAM)



WACŁAW SIEROSZEWSKI

JERZY KAMIL WEINTRAUB
młody poeta

W numerze 24 „Tygodnika Powszechnego” p. Kisiel zapoznaje nas z „Orgią pytań”, które wyczytał na murze warszawskim. „Będąc niedawno w Warszawie” — pisze felietonista — „znalazłem na murze wypalonego domu długi szereg pytań, wypisanych kopiowym ołówkiem. Dziwaczne pomieszanie tematów — bez ładu i składu — oraz naiwne sformułowanie kwestii zdradzały niezupełną równowagę umysłu autora, tym niemniej pozwoliłem sobie dokonać wyboru tych pytań i przedstawiam je poniżej, niektóre z nich bowiem wydały mi się wcale interesujące”.

Ponieważ niektóre pytania warszawskiego anonima istotnie są interesujące, a inne zabawne, warto by odpowiedzieć w miarę możliwości na wszystkie, co postaramy się poniżej uczynić.

Pytanie: Jaka jest różnica między programami 4-ch stronnictw demokratycznych?

Odpowiedź: Podobna do różnicy między analogicznymi stronnictwami w krajach zachodnich (komuniści, socjaliści, radykalni, ludowcy).

Pytanie: Kto może wstąpić do dyplomacji?

Odpowiedź: Ob. Krzysztof Radziwiłł, dyrektor protokołu dyplomatycznego M. S. Z., wyjaśni najlepiej tę wątpliwość.

Pytanie: Co się stało z Hitlerem?

Odpowiedź: Ukrywa się w swej ciotki, Elizy Katz, w Stuttgarcie, Columbusgasse 32, m 11.

Pytanie: Czy w Polsce poza czterema stronnicami będą inne partie, a jeśli tak, czy będą miały swoją prasę?

Odpowiedź: Już tworzą się inne partie (P. S. L.) i zapewne w najbliższym czasie będą miały swoją prasę. Spokojne istnienie „Tygodnika Powszechnego” pozwala tak przypuszczać.

Pytanie: Czy w Puszczy Białowieskiej są jeszcze żubry?

Odpowiedź: Nie wiem.

Pytanie: Skąd pochodzi i co oznacza słowo „kinofikacja”?

Odpowiedź: Słowo to pochodzi z chybilnego pomysłu i nie powinno być powstać.

Pytanie: Jakim sposobem wiceminister Kultury i Sztuki w wywiadzie udzielonym prasie na temat Kongresu artystów, który odbędzie się (a jak się okazało — nie odbędzie się...) w Krakowie, z góry już scharakteryzował rolę i znaczenie Kongresu, a nawet uchwały, jakie tam zapadną? Byłoby jasnowidzem?

Odpowiedź: Wiceminister Kultury i Sztuki określił w wywiadzie cel Kongresu i wyraził nadzieję, że pewne pozytywne uchwały na nim zapadną.

Pytanie: Czy będą w Polsce fabryki zegarków?

Odpowiedź: Już są.

Pytanie: Z jakiej warstwy społecznej pochodzi ob. Krzysztof Radziwiłł, mianowany ostatnio dyrektorem protokołu dyplomatycznego?

Odpowiedź: Ob. Radziwiłł pochodzi z arystokracji, jak wielu demokratów znanych w historii.

Pytanie: Czy przybędzie do Polski kapitał zagraniczny?

Odpowiedź: Jeśli pytanie dotyczy kapitału zagranicznego w sensie żyrdowskim (Bous-sac), to taki na pewno nie przybędzie.

Pytanie: Ile istnieje typów demokracji?

Odpowiedź: Jeden — zwalczający wstecz-nictwo.

Pytanie: Czy „Szpilki” nie zanadto sobie pozwalają?

Odpowiedź: Nie.

Pytanie: Kto może wydawać pismo?

KISIEL I MASŁO

Odpowiedź: Poinformuję ob. Jerzy Turo-wicz, redaktor „Tygodnika Powszechnego”.

Pytanie: Jak długo niemiecka „Kennkarte” będzie w Polsce prawomocnym dowodem osobistym?

Odpowiedź: Solidaryzuję się z pytającym.

Pytanie: Ile kosztuje bomba atomowa?

Odpowiedź: Tuzin 23 zł.

Pytanie: Dlaczego dyrektor Szyfman kazał w Teatrze Polskim zamurować skonstruowane przez Niemców wgłębienie dla orkiestry?

Odpowiedź: Bo zamurował tam żywcem pewnego reakcjonistę.

Pytanie: Jak długo żyją pluskwy?

Odpowiedź: Za długo.

Pytanie: Czy rozpolitykowany literat to jawisko dodatnie czy ujemne?

Odpowiedź: Literat aktywny politycznie nie jest zjawiskiem ujemnym (Mickiewicz, Moch-nacki, Herzen, Malraux).

Pytanie: Czy można wyjeżdżać za granicę i jak starać się o wizy?

Odpowiedź: Można. Informacji udzieli MSZ. i Wionczek.

Pytanie: Kiedy można polować na zajęcy?

Odpowiedź: Z punktu widzenia zajęcy — nigdy.

Pytanie: Po jakim kursie wymieniane będą polskie pieniądze z granicą?

Odpowiedź: Nie wiem. Informacje w Ministerstwie Skarbu.

Pytanie: Kogo obejmować będzie amnestia?

Odpowiedź: Nie wiem. Informacje w Ministerstwie Sprawiedliwości.

Pytanie: Jak zdobyć mieszkanie w Warszawie, Krakowie, Katowicach lub Łodzi?

Odpowiedź: Każdą drogą z wyjątkiem Urzędu Mieszkaniowego. Zalecamy sposoby niegodne.

Pytanie: Z czego żyją ci, co nie żyją z pensji?

Odpowiedź: Ze źródeł pobocznych.

Pytanie: Skąd pochodzą słowa „bimber” i „szaber”?

Odpowiedź: Z gwary złodziejskiej. Słowa te nie powinny być przejść do języka inteligencji.

Pytanie: Czy to prawda, że Słonimski i Pruszyński wracają do Polski, aby wydawać tu pismo literackie?

Odpowiedź: Wymienieni pisarze mają, według pogłosek, nadal wydawać w Londynie pismo „Nowa Polska”, reprezentujące postawę demokracji polskiej.

Pytanie: Kto to jest reakcjonista i do jakiej partii należy?

Odpowiedź: Reakcjonista nie zawsze jest członkiem partii politycznej. Jest to osobnik nie pojmujący prądów postępowej myśli społecznej.

Pytanie: Ile na wolnym rynku kosztuje for-
tepien z Wrocławia?

Odpowiedź: Mniej więcej tyle, ile motocykl ze Szczecina.

Pytanie: Ile jest w roku świąt narodowych?

Odpowiedź: Cztery razy mniej niż kościelnych.

Oto wyjaśnienia, udzielone wedle najlep-szych starań i wiedzy. Anonim warszawski mógł być śmiało podpisać na murze swe nazwisko. P. Kisielowi radzimy wpisać od-powiedzi kopiowym ołówkiem w tym samym miejscu, w którym je wyczytał. A ponieważ raz już mieliśmy przyjemność przytoczyć mi-
lemu felietoniście sfere polskie przysłowie na łamach „Odrodzenia”, tym razem zacytujemy mu inne: „Kto ma na głowie masło, niech w słońcu nie łązi”.

(kb)

Kronika amerykańska

Rekordowy nakład. Jak podaje tygodnik „Time”, amerykańska Rada Książki Wojennej, która zajmuje się wydawaniem książek dla żołnierzy, może pochwalić się dużym sukcesem. Dyrektor tego wydawnictwa, Philip Van Doren Stern oszacował w wydawstwie prasowym, że w okresie wojny nakład 500 wydanych książek wyniesie 40 milionów egzemplarzy. Największą popularnością cieszyła się książka marynarza, który przez dwa lata przebywał na Pacyfiku, pt. „A Tree Grows in Brooklyn” („Drzewo rośnie w Brooklynie”).

Nowele Johna O'Hara. Popularny nowelista amerykański, John O'Hara wydał nakładem Duella, Sloana i Pearce'a zbiór krótkich opowiadań (tzw. short story) pt. „Pipe Night”. Przedmową do książki napisał krytyk Wolcott Gibbs.

Nowe filmy. Sześć lat wojny oddało nas zupełnie od nowej produkcji amerykańskiej. Tymczasem film zrobił znaczne postępy, nie tylko w dziedzinie technicznej, ale przede wszystkim — w artystycznej i estetycznej. Stany Zjednoczone wyprodukowały w tym czasie wiele wartościowych obrazów, które znalazły uznanie nawet u wybrednego widza angielskiego. Do najbardziej „kasowych” obrazów należy film „Hotel Berlin”, który ukazuje okrucenstwo terroru hitlerowskiego. W roli głównej wystąpił Peter Lorre i Helena Thimig, żona zmarłego Maxa Reinhardta. Rzecz dzieje się w domu generała pruskiego, oskarżonego przez hitlerowców o zdradę. W innych filmach grają Gary Cooper („Casanova, Brown”), Errol Flynn („Objective, Burma”), doskonale odtwórcza Henryka VIII, Charles Laughton („The Suspect”) i Clive Brook. Wielkim powodzeniem cieszą się — jak wynika z odgłosów prasy — filmy dokumentarne, wojenne, np. z walk na Pacyfiku pt. „To the Shores of Iwo Jima” albo „The Battle for the Marianas” („Bitwa przed wyspami Marianskimi”).

Nagroda radiowa. Nagroda literacka, przyznana przez radio amerykańskie, tzw. Peabody Awards, została przyznana w tym roku Fred Allenowi, autorowi licznych słuchowisk radiowych. Sąd konkursowy składał się z literatów i dziennikarzy pod przewodnictwem redaktora jednego z najpoczytniejszych periodyków — „Atlantic Monthly” — Edwarda Weeks'a.

Nowa sztuka Noel Cowarda. Znany pisarz i reżyser Noel Coward wystawił nową sztukę „Mad Dogs and Englishmen” („Szalone psy i Anglijcy”).

Co grają teatry na Manhattanie? Teatry na Manhattanie w Nowym Jorku wystawiły kilka nowych sztuk. M. in. Mae West wystąpiła w komedii „Catherine Was Great” („Katarzyna była wielką”), Max Gordon wystawił sztukę Terence'a Rattigana „Kiedy słońce świeci”, a reżyser Shubert — sztukę Howarda Richardsona „Dark of the Moon” („Cień księżyc”). Wielkim powodzeniem cieszyła się sztuka Philipa Barry „Foolish Notion” („Głupia historia”), gdzie rolę główną kreowała znana aktorka filmowa Tallulah Bankhead. Jak pisze „Time”, autor jest pod wpływem Pirandello.

Wystawa emigracyjnych artystów w New Yorku. W nowojorskim Manhattan's Whitney Museum otwarta została wystawa pt. „Artyści europejscy w Ameryce”, zawierająca prace 39 artystów-emigrantów. Z prac wyróżniono obraz Polaka, M. Kislinga, przebywającego dawniej w Paryżu, oraz dwa płótna Francuzów — Marcela Duchampa i surrealisty paryskiego Yvesa Tanguya.

Współczesne malarstwo amerykańskie. Amerykańska Akademia Sztuk Pięknych (National Academy of Design) otworzyła wystawę malarstwa, poświęconą twórczości swych członków. Ogółem przedstawiono 353 prace. Nagrodę Akademii uzyskała Alicja Sundt Motts za obraz pt. „Bouquet d'Amour”, drugą nagrodę znany ilustrator Harrison Cady (pseudonim Peter Rabbit) za rysunek „Zagubiona kotwica”.

Kronika francuska

U pisarzy. We Francji rynek wydawniczy pracuje całą parą. Wydawcy zaprezentowali kilkunastu nowych pisarzy i poetów. Między in. ukazały się wiersze Charlesa Morgana pt. „Oda do Francji” (n. Char-lota) i zbiór poematów Louis Parrota pt. „Misery Farm” (n. Seghera). Z powieści ukazały się ostatnio „Printemps pour les Morts” René Saint-Cricq-Jeanne, które są wspomnieniami ujętymi w formie opowieści członka organizacji maquis. Historię adm. Darlana opisał w książce pt. „La Tragedie de Mers-el-Kebir” Albert Kammerer (nakład. Medice). U Charlota wyszły poza tym dwie powieści — Emmanuela Bove „Depart dans la Nuit” („Wyjazd noca”) i Alberta Camusa „Noces”.

Od Kairu do Tunisu. U Fayarda ukazały się książki młodego pisarza amerykańskiego, który odbył kam-panię libijską, Hassoldta Davisa pt. „Feu D'Afri-que”.

„Les Lettres Françaises” ogłosiły wzruszający re-portaż kapitana angielskiego George Langhama, który wszedł do Paryża 24 sierpnia wieczorem jako pierwszy oficer brytyjski, wysadzony pamiętnego 6 czerwca 1944 na ląd francuski. Wspomnienia jego noszą tytuł „Od Avranche do Hotelu Scribe” i ciekawie odtwarzają nastroje, jaki panował wśród powstańców i ludności stolicy w owych przelomo-
wych dniach Francji.

Julien Duvivier, znakomity reżyser francuski, po powrocie do kraju przystąpił do realizacji nowego filmu, według scenariusza Georgesa Simenona pt. „Les Fiancailles de Mr. Hire”.

Clement Woerly zamieścił w sierpniowym nu-
merze „La Marseillaise” recenzję z powieści Wandy Wasilewskiej „Ojczyzna”, która niedawno ukazała się w przekładzie francuskim nakładem „Hier et Aujourd'hui”.

Nowe książki Aragona i Kessla. U Gallimarda ukazała się powieść historyczna Louisa Aragona pt. „Aurelian”, poemat — jak pisze krytyka — o an-
tycznej miłości. Autor „Zatogi” Józef Kessel wydał opowiadanie z życia lotników francuskich, którzy walczyli w lotnictwie angielskim, „Les Maudru” (u Julliarda).

„Amerykanie”. Pod takim tytułem wydał La-
rousse antologię życia amerykańskiego z uwzględ-nieniem cech narodowych, obyczajowych i społecz-
nych oraz prądów politycznych i ekonomicznych, nurtujących współczesne społeczeństwo amerykan-
skie. Książkę tę opracował Charles Centre, profesor
cywilizacji amerykańskiej w Sorbonie.

O teatrze angielskim we Francji. Nakładem „Edi-
tions du Pavois” ukazała się praca zbiorowa o tea-
trze angielskim pt. „Le Theatre Anglais d'Hier et
d'Aujourd'hui”. Znajdujemy tu m. in. omówienia i
essays J. J. Bernarda Longworth Chamberna i J.
Duchesa'a oraz teksty współczesnych dramaturgów
angielskich w przekładzie francuskim — Yeatsa,
Emlyn Williama, O'Caseya i Wycherleya.

Czasopismo „Poésie 45” (redaktor Pierre Seghers)
ogłasza w nr 25 nowe twory Aragona, Elzy Triolet,
Jeana Tardieu, Magny'ego, przekłady z T. E. Elliota
i in.

Wspomnienia oświecimskie we Francji. W Paryżu
ukazała się książka L. Simona pt. „Souvenir de la
Maison des Morts” („Wspomnienia z domu śmierci”),
zawierająca opis tortur i cierpień zadawanych przez
hitlerowców zbiorów ofiarom obozu w Oświęcimiu.

Miesięcznik „Mosaïques” publikuje utwory poetów
i pisarzy współpracujących czynnie z Ruchem Opo-
ru. M. in. znajdujemy wiersze i fragmenty powie-
ściowe Elzy Triolet, L. Aragona, Paul Eluarda,
Pierre Seghersa, Claude Roya, Loys Massona
i Alaina Borne'a.

Zaprenumerować „ODRODZENIE”

można w każdym urzędzie pocztowym za pomocą
przekazu pocztowego. Prenumerata miesięczna
wynosi 21 zł, kwartalna 63 zł.

Adres administracji: Kraków, Wielopola 1

W teatrach krakowskich

Wdzięk komedii Marivaux „Igraszki trufi i mi-
łości” to jej wzruszająca a stylowa naiwność: stylowa
naiwność fabuły i wstydliva naiwność miłości. To
pewne, że Marivaux nie był ani odkrywca ani
rewolucjonista, że poza ramy wytworną etykietą
określonej obyczajności i w życiu i w sztuce wy-
kraczać nie zamierzał. Więc wszystko, co się w „I-
graszkach trufi i miłości” dzieje, jest do przewi-
dzenia w sposób dosłownie matematyczny — kla-
sycznie proste qui pro quo i jednobarwność postaci
wykluczają jakiegokolwiek bądź niebezpieczeństwo
niespodzianki lub napięcia u widza. To pewne, że
Marivaux nie chciał naruszać etykiety czy feudal-
nej obyczajności. Toteż lokaj Paskin pozostał loka-
jem mimo zmiany liberli na frak swego pana, a Syl-
wia jest damą nawet jako garderobiana. Widać, że
Marivaux był pełen szacunku dla markizowskiego
tytułu i fraszki i nie pozwalał sobie na luksus skry-
wania się przed blaskiem królewskiej łaski w cien-
Bastylii. Tak jak to czynił Beaumarchais lub Vol-
taire.

Mimo to — zdaje mi się — jest kilka zdań, kilka
kwestii w tej komedii, które musiały być trochę
niepokojące. Marivaux jest reprezentantem konwe-
nansu. Ale zdanie „wobec miłości wszyscy są
równi” (cytuje z pamięci) musiało mieć na owe cza-
sy swój niepokojący smaczek przymiotnika „równi”.
Albo groźba megalomanu: wytworny markiz Doront
zakochał się w pokojówce. I choć zakochał się jako
lokaj, a wszystko „dobrze się kończy” (bo poko-
łówka okazuje się w końcu przebraną damą), to
jednak Doront wyznaje miłość pokojówce. I z tej
miłości ustąpić nie zamierza, choć jeszcze „do-
brego” końca nie przeczuł.

Zapewne Marivaux ani się śniły przewroty spo-
łeczne i nie domyślał się, że przymiotnik „równi”
ma związek z rzeczownikiem „egalite”. Chciał mó-
wić o igraszkach trufi i miłości, a choć niewiele
i szeptem, to jednak powiedział także słówko po-

nadto. Nie zamierzam par force udowadniać, że
„w miłości wszyscy są równi” — to jaskółka samej
rewolucji. To uważam je za jedną z jaskółek epoki,
która te rewolucji wydała. W tym jest trochę pik-
anterii i trochę tego, co się zowie duchem czasu.

Humor, świetna technika i talenty w smacznej
oprawie dekoracyjnej — oto elementy widowiska
w Starym Teatrze. Jeśli chodzi o koncepcję dyry-
gentką Janusza Warneckiego, muszę przyznać, że
została przeprowadzona mistrzowsko: była w tym
wszystkim technika bez sztampy i wdzięk bez blagi.
Szczególnie uroczy był fragment z kwiatami
w dionizach ślicznie zrytowanej Sylwii.

Z zespołu aktorskiego wymienić należy przede
wszystkim Sylwii (Danutę Szafiarską), uroczą roz-
trzepotaną, pełną temperamentu w słowie i geście,
„naiwną”. Jest to talent par excellence, a że po-
piera w dodatku osobistym wdziękiem i urodą, go-
zowała przewidywać bardzo wiele. Sądzę, że o lek-
kiej nerwowości dykcji i odrobnie gierki, łatwo
będzie jej w przyszłości zapomnieć. Reszta „arysto-
kratów”: Orgon (Stefan Michulowicz), Doront (Wła-
dysław Sheybal) i Mario (uczeń studia), rozegrali
ze Sylwii kwartet wytworności w sposób ujmu-
jący: właściwy umiar i sceniczną powściągliwość
Orgona i Doronta zrównoważyło dyskretne wisu-
sostwo Maria.

Para: Lizeta (Helena Chaniecka) i Paskin (Euge-
niusz Fulda), mieli trudne zadanie w organizowaniu
scenek o zakroju farsowym. Wydaje mi się, że
wyszli zeń zwycięsko. Operowanie przymitywem sce-
nicznego komizmu i uniknięcie przesady w szarzy-
 jest bezsprzecznie wyraznym sukcesem — szcze-gólnie
udał się rubaszny a śmieszny Paskin. Ale muszę
wyznać: szczerze żałuję, że zamiast Marivaux nie
był to jakiś (pod tą samą dyrekturą i w podob-
nym zespole odegrany) Beaumarchais lub Moliere.

Jerzy Broszkiewicz